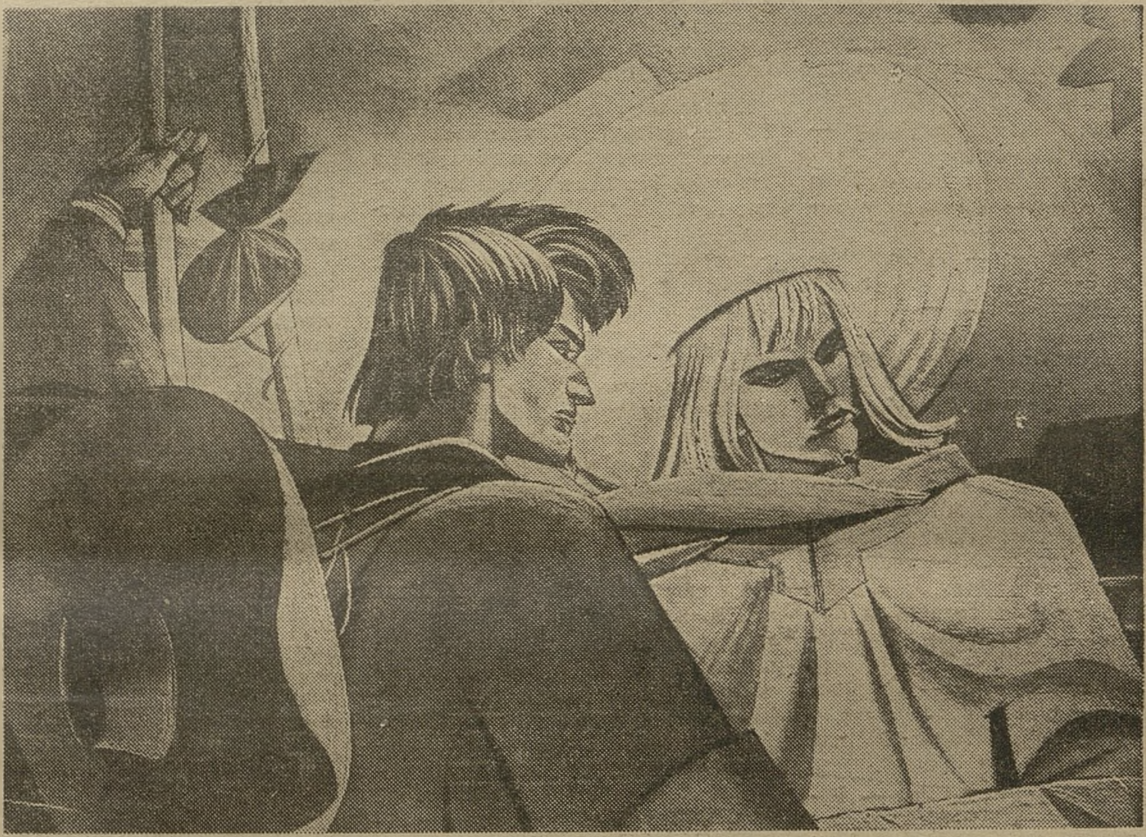
Cena 10 zł

ŚWIETLICA KRAKOWSKA

dwutygodnik

Nr 4 | Kraków, 15 lutego 1947 r. | Rok III



Z. Stryjeńska — Fragment obrazu „Wędrowcy"

CYPRIAN KAMIL NORWID

...„Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
podnoszą z ziemi przez uszanowanie
dla darów nieba...
Tęskno mi, Panie...

Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
popsować gniazdo na gruszy bocianie,
bo wszystkim służą...
Tęskno mi, Panie...

Do bez-tęsknoty i do bez-myślenia,
do tych, co mają tak za tak, nie za nie
bez światłocienia...
Tęskno mi, Panie...

Przed nowym rządem — nowe zadania

Dnia 4 lutego odbyło się pierwsze historyczne posiedzenie Sejmu Ustawodawczego, zainaugurowane przemówieniem Prezydenta Bieruta, po czym nastąpił wybór marszałka Sejmu; został nim **Władysław Kowalski**, członek Stronnictwa Ludowego. Dnia 5-go lutego wybrany został Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej **Bolesław Bierut**. Dnia 6-go lutego w późnych godzinach wieczornych poseł **Józef Cyrankiewicz** (PPS), utworzył na zlecenie Prezydenta Państwa nowy rząd polski, którego skład jest następujący:

1) **Prezes Rady Ministrów — Józef Cyrankiewicz.**
2) **Wicepremier i Minister Ziem Odzyskanych — Władysław Gomułka.**
3) **Wicepremier — Antoni Korzycki.**
4) **Minister bez teki — Wincenty Rzymowski.**
5) **Minister bez teki — Wincenty Baranowski.**
6) **Minister Obrony Narodowej — Marszałek Michał Rola-Żymierski.**
7) **Minister Spraw Zagranicznych — Zygmunt Modzelewski.**
8) **Minister Administracji Publicznej — Edward Osóbka-Morawski.**
9) **Minister Bezpieczeństwa Publicznego — Stanisław Radkiewicz.**
10) **Minister Skarbu — Konstanty Dąbrowski.**
11) **Minister Rolnictwa i Reform Rolnych — Jan Dąb-Kocioł.**
12) **Minister Przemysłu — Hilary Minc.**
13) **Minister Sprawiedliwości — Henryk Świątkowski.**
14) **Minister Oświaty — Stanisław Srkzeszewski.**
15) **Minister Pracy i Opieki Społecznej — Kazimierz Rusinek.**
16) **Kierownik Aprowizacji i Handlu — Włodzimierz Lechowicz**
17) **Minister Żeglugi i Handlu Zagranicznego — Ludwik Grossfeld.**
18) **Minister Odbudowy — Michał Kaczorowski.**
19) **Minister Komunikacji — Jan Rabanowski.**
20) **Minister Poczt i Telegrafów — Józef Putek.**
21) **Minister Lasów Bolesław Podedworny.**
22) **Minister Zdrowia — Tadeusz Michejda.**
23) **Minister Kultury i Sztuki — Stefan Dybowski.**
24) **Kierownik Ministerstwa Informacji i Propagandy — Feliks Widy-Wirski.**

Mamy więc w Polsce nowy rząd. Jeśli przyjrzymy się składności i szybkości, następujących po sobie wypadków, to stwierdzić musimy, że stosunki w Polsce nie tylko, że uległy stabilizacji, lecz wyróżniają się jednomyślnością narodu. Wybór najwyższych dostojników państwowych, oraz ukonstytuowanie się nowego rządu nastąpił w atmosferze harmonijnej współpracy stronnictw politycznych w Polsce.

Okres rządów tymczasowych w Polsce należy do przeszłości. — Rząd poprzedni, pod nazwą Rządu Jedności Narodowej, był nim nominalnie, gdyż Polskie Stronnictwo Ludowe, reprezentowane przez wicepremiera Mikołajczyka, ministrów Wycecha i Kiernika, stanowiło właściwie opozycję. Sytuacja jedyna w swoim rodzaju, by stronnictwo, zasiadające równocześnie w rządzie, stanowiło zarazem opozycję w tym rządzie, uległa wreszcie uzdrowieniu. Mikołajczyk, który ostentacyjnie złożył dymisję 4 lutego, a po nim w dziwnej kolejności, jakby pod naciskiem, ministrowie Wycech i Kiernik, zajął teraz w Sejmie miejsce opozycji jawnej, bez maski. Koleje tego, dotąd negatywną rolę w naszym państwie odgrywającego, stronnictwa, są niewesołe. W chwili przyjazdu Mikołajczyka do Polski, stronnictwo jego odegrać mogło w Polsce dużą rolę. Dzięki jednak zgubnej polityce jego prezesa, który miast współpracy z całym narodem obrał drogę destruktywnej negacji, Polskie Stronnictwo Ludowe znalazło się na manowcach. Zaobserwowany masowy odpływ demokratycznych chłopów z tego stronnictwa przed wyborami, teraz ulegnie jeszcze dalszemu nasileniu.

Jakże bowiem chłop polski może stać w opozycji do rządu ludowego, w którym nie nominalnie, a faktycznie współgospodarzem jest rolnik polski? Władysław Kowalski, marszałek Sejmu i szereg ministrów — to członkowie prawdziwie chłopskiego Str. Ludowego. W stosunku do rządu, który jest nie tylko obrazem mocnego sojuszu robotniczo-chłopskiego, lecz obrazem prawdziwej jedności narodu, gdyż w skład jego ministrów weszli przedstawiciele sześciu partii: Polskiej Partii Robotniczej, Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Demokratycznego, Stronnictwa Pracy i PSL „Nowego Wyzwolenia", chłop polski nie tylko nie może stać w opozycji, lecz będzie go swą uczciwą pracą dla Polski popierał. — Nie długi to czas, gdy Polskie Stronnictwo Ludowe stanie się stronnictwem zatwardziałych reakcjonistów i odszczepieńców wsi Kto dobrym Polakiem i ukochał sprawę wsi — tego droga wspólna z koalicyjnym rządem polskim.

Premier Osóbka-Morawski, który piastował swój trudny obowiązek poprzez cały dotychczasowy okres tymczasowości, złożywszy swoje funkcje w ręce nowomianowanego premiera Józefa Cyrankiewicza, zajął niemniej odpowiedzialne stanowisko Ministra Administracji Publicznej. Okres tymczasowości rząd polski przetrwał z wynikami tak wielkimi, że stały się one fundamentem dalszej budowy Odrodzonej Polski. Przeprowadzenie reformy rolnej, upaństwowienie przemysłu, odbudowa życia polskiego na wszystkich odcinkach, wzmocnienie stanowiska Polski na arenie międzynarodowej, przez przesunięcie granic zachodnich na Odrę i Nysę, przy równoczesnym ciągłym stabilizowaniu się stosunków wewnątrz kraju, targanego bratobójczymi aktami gwałtu, inspirowanymi, przez reakcyjne ośrodki zagraniczne, to tak wielkie osiągnięcia rządu, którego prezesem był Edward Osóbka-Morawski przez okres powojennego budownictwa do czasu ukonstytuowania się pierwszego normalnego rządu polskiego po zwycięstwie nad Niemcami, jakimi żaden premier na świecie poszczycić się nie może. Zmianę na stanowisku premiera uzasadnia Minister Osóbka-Morawski w wywiadzie, udzielonym redaktorowi agencji SAP w ten sposób: „Pragniemy zainaugurować nowy styl pracy w nowym okresie historycznym i wyjść z okresu heroiczno-improwizacyjnego w okres ustabilizowany. Nowy okres powinni zainaugurować nowi ludzie".

Wraz z nowym premierem do rządu weszli nowi ludzie, ale większość ministrów to doświadczeni kierownicy resortów w poprzednim rządzie. Toteż dalszym zadaniem nowego rządu będzie kontynuacja wytycznych słusznej polityki poprzedniego rządu, a to: obrona granic zachodnich na Odrze i Nysie i przyjaźń ze wszystkimi,

miłującymi pokój narodami ze Związkiem Radzieckim na czele, oraz dalsza odbudowa Polski na wewnątrz, czyli realizacja planu trzyletniego zagospodarowania Ziem Odzyskanych, odbudowa Warszawy i Wybrzeża.

Akordem zgody i miłości Ojczyzny, bo ułaskawieniem przywódców podziemnej organizacji WIN Rzepeckiego i towarzyszy, rozpoczął swą władzę w Polsce Pierwszy Obywatel Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Wytyczną polityki nowego rządu w Polsce będzie odegranie w polityce międzynarodowej roli czynnika pokoju, wewnątrz zaś państwa czynnika, opierającego swe poczynania przede wszystkim na miłości Ojczyzny, która jest prawdziwą matką dla wszystkich Polaków w demokratycznej Polsce i daje możność powrotu do normalnej pracy zbłąkanym, obałamuconym fałszywą propagandą, jednostkom.

(gr)

A. CORTES

Portugalia — przedmurzem faszyzmu

Artykuł ten, pióra portugalskiego historyka A. Cortesa, opisuje dojście do władzy dyktatury Salazara. (Z czasopisma angielskiego „Tribuna") red.

Naród portugalski, którego osiem wieków historii charakteryzuje ciągła ewolucja w kierunku demokracji i wolności, wybrał republikańską formę rządów w roku 1910. Jednym z pierwszych aktów nowego rządu było oddzielenie kościoła rzymsko-katolickiego od państwa, co położyło kres wszechpotężnemu klerykalizmowi, historycznie związanemu z monarchią w Portugalii.

Więzy, łączące monarchistów z klerykami, zacieśniły się bardziej, niż kiedykolwiek w nienawiści do nowego reżimu. Wykorzystując demokratyczną tolerancję rządu republikańskiego, uprawiali bez przeszkód działalność konspiracyjną, rzucając kraj w szereg kolejnych rewolucji, które nie ustały aż do chwili powstania obecnej faszystowsko-totalnej formy rządu. Niektóre z tych rewolucji były czysto monarchiczne, inne miały charakter dyktatorsko-reakcyjny wśród samych republikanów, zawsze jednak były popierane lub inicjowane przez tę samą klikę, reprezentującą interesy monarchiczne, klerykalne i inne.

Od roku 1911 do 1914 w Portugalii miały miejsce cztery zbrojne rewolty monarchiczne przeciwko republice. Niektóre z nich brały początek za linią graniczną i przybierały formę inwazji Portugalii przez wojska, zorganizowane i uzbrojone w monarchicznej i klerykalnej Hiszpanii, wszystkie jednak zostały zdławione przez armię republikańską. Żądny zademonstrowania swej tolerancji demokratycznej, rząd demokratyczny udzielił swym nieprzyjacielom szeregu amnestii. Rebelianci jednak nigdy nie spoczęli w swych wysiłkach obalenia i zdyskredytowania reżimu, który potraktował ich równie wspaniałomyślnie, jak i nierozważnie.

W styczniu 1915 roku bunt wojskowy obalił rząd demokratyczny i wprowadził dyktaturę, a w cztery miesiące po tym demokraci zostali rozbici po zamachu, mającym na celu odzyskanie władzy; w sierpniu tegoż roku miało miejsce nieudane monarchiczne coup d'etat. W 1916 roku nastąpił nowy, nieudany zamach republikański i w grudniu 1917 roku — zwycięski zamach stanu, wykonany przez proniemieckiego dyktatora, po którym w styczniu i październiku 1918 roku nastąpiły dwa kolejne bunty, demokratyczne.

W grudniu dyktator został zamordowany, a 10 stycznia 1919 roku demokraci zbuntowali się, znowu jednak bez powodzenia. Lecz już w tydzień później w Oporto i innych miejscach proklamowano monarchię. Podobny zamach miał miejsce w Lizbonie i wtedy to naród powstał z bronią w ręku, i po krwawej walce, która trwała kilka tygodni, wprowadzono znów ustrój republikański. Lecz siły reakcyjne kraju nie spoczęły ani na chwilę; w maju 1926 roku wojsko wprowadziło dyktaturę militarną, która została wkrótce przekształcona w faszystowskie, do gruntu totalne państwo.

W ciągu tych szesnastu lat naród portugalski walczył ciężko w obronie swego zwycięstwa z roku 1910 przeciw sile reakcji w kraju, pomimo kampanii oszczerstw, popieranej przez odłamy faszystowskiej prasy za granicą.

W latach późniejszych przyjęto mówić o „Rewolucyjnej Portugalii" i snuć rozważania o korzyściach dyktatury, która położyła kres tym haniebnym wypadkom.

Nie ma nic dziwnego w tym fakcie, że w latach 1920—1926 młoda republika przeżywała ciężki okres. Lecz, pomimo tych wszystkich trudności, okres charakteryzował olbrzymi postęp w gospodarczym i kulturalnym życiu narodu w koloniach, a przede wszystkim w moralności administracji publicznej.

Nawet najzajadlejsi wrogowie republiki nie mogą oskarżyć żadnego z ministrów ani urzędników, o nadmierne dbanie o swą własną kieszeń, podczas swej kadencji urzędowania, istniał parlament, istniało wolne słowo i wolna prasa — obraz bardzo odmienny od dzisiejszego.

Na początku 1926 roku rząd miał przygotowane wielkie plany gospodarczego rozwoju kraju. I wtedy właśnie klika reakcyjna militarystów dokonała zamachu, wprowadzając dyktaturę, która miała zająć się „reorganizacją" kraju. Według słów dr. Salazara, reorganizacja polegała na zamknięciu i rozwiązaniu Izb, likwidacji partii politycznych, utworzeniu silnego i niezależnego rządu przy wprowadzeniu pewnych, niezbędnych ograniczeń dotyczących wolności prasy i zgromadzeń publicznych.

De facto, rząd generałów rozpoczął swą działalność od roztrwonienia pieniędzy publicznych z wysiłkiem ciułanych przez rząd republikański, doprowadzając kraj nieomal do bankructwa. Sytuacja stała się tak poważna, że pod koniec roku 1927 generałowie musieli zaapelować do Ligi Narodów o pożyczkę dwunastu milionów funtów. Naturalnie, warunki postawione przez Ligę Narodów były nie do przyjęcia. Generałowie po raz drugi zwrócili się o pomoc do dr. Salazara, profesora skarbowości na uniwersytecie w Coimbra, posła dawnego republikańskiego parlamentu z ramienia partii katolickiej.

Przywołany po raz pierwszy dr. Salazar po krótkim czasie poróżnił się z generałami i zrzekł się współpracy. Tym razem jednak wyższe sfery rzymsko-katolickie, widząc swe szanse, wysunęły dr. Salazara, udzielając mu potężnego poparcia. Dr. Salazar postawił warunki, które zostały bezapelacyjnie przyjęte. Skarb był pusty, a parę milionów funtów było niezbędne na początek; poza tym dr. Salazar zażądał absolutnej dyktatorskiej władzy jako minister skarbu. Wysłano telegram do Rzymu i wkrótce za pośrednictwem pewnego katolickiego bankiera angielskiego i przy poparciu wysoko postawionych katolickich osobistości w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Londynie, City dostarczyło milionów potrzebnych dr. Salazarowi.

Nie dużo czasu trzeba było dr. Salazarowi na to, by zagarnąć całą administrację w swe mocne ręce. W 1930 roku został on premierem.

Jednym z jego pierwszych posunięć było wzmocnienie tajnej policji z jej obozami koncentracyjnymi, celami tortur i resztą, następnie stworzył on przy Prezydium Rady Ministrów „Sekretariat Propagandy Narodowej", który podlega jego bezpośredniej kontroli. Po tym nastąpiła organizacja państwowa na zasadach korporacyjnych — wierna kopia wzoru Mussoliniego — państwa korporacyjnego z milicją faszystowską „legionem portugalskim", faszystowską organizacją młodzieżową itd.

W roku 1936 sekretariat propagandy ułożył przemówienia dr. Salazara w formie książki ze specjalnym wstępem przez niego napisanym. Książka została przetłumaczona na kilka języków i wydana wielkim nakładem kosztów. Francuskie wydanie otrzymało bardzo kosztowny ustęp pióra Maurycego Maeterlincka. Koszt całej, czysto osobistej propagandy był pokryty portugalskimi pieniądzmi publicznymi, — fakt jedyny w dziejach Portugalii.

W angielskim wydaniu (1936) dr. Salazar mówi w swym wstępie: „Jesteśmy wrogami parlamentaryzmu,

wrogami demokracji, wrogami liberałów i jesteśmy zdecydowani utworzyć państwo korporacyjne".

Nic dziwnego, że dr. Salazar wspomagał generała Franco w czasie hiszpańskiej wojny domowej, do tego stopnia że według Heraldo de Aragon (24 maja 1929 r.) 6 000 doborowych żołnierzy z wysłanych przez niego oddziałów padło w walce przeciwko hiszpańskim republikanom. Nic też nie ma dziwnego w tym, że 26 czerwca 1942 roku gdy Niemcy zbliżali się do Aleksandrii, dr Salazar w mowie wygłoszonej w swoim Parlamencie" bardzo ostro skrytykował Anglików. Jest rzeczą ogólnie znaną, że mimo anglo-portugalskiego sojuszu zaopatrywał on stale Niemców w wolfram i inne materiały wojenne

Bezwątpienia, Portugalia dra Salazara jest i pozostanie przedmurzem faszyzmu i schronieniem dla hitlerowców.

W latach 1927, 1930, 1933 Portugalczycy powstali przeciw dyktatorowi, zostali jednak bezlitośnie rozbici. Terror tajnej policji zdusił wszelką potencjalną opozycję. Jakżeż może naród walczyć gołymi rękoma przeciwko pretoriańskiej gwardii dra Salazara, uzbrojonej po zęby w najnowocześniejszą broń? Dzięki faszystowskiej polityce dra Salazara. Portugalia jest politycznie i moralnie izolowana od reszty świata — za wyjątkiem Hiszpanii generała Franco. Bogaci portugalscy przyjaciele dra Salazara opływają w dostatki, a naród biedniejszy jest niż kiedykolwiek przedtem.

A. Cortes

IRENA LIGOTOMSKA

Poznajmy naukę o ekonomii

Jeszcze ceny wielu artykułów spożywczych i przemysłowych są wysokie. O tym wie każdy. Ale dlaczego stwierdzając ten, jakże łatwy do wytłumaczenia fakt mówi się często, że drożyzna została spowodowana polityką rządu?

Dlaczego wielu ludzi wciąż jeszcze obawia się inflacji, zmiany pieniądza?

Tu nie chodzi tylko o to, by wykazać śmieszność krążących z ust do ust, ukutych przez reakcję plotek.

Plotka o grożącym niechybnie końcu świata, puszczona na wiosnę 1945 roku nie wywarła żadnego wpływu na nasze życie. Ale już plotki o tym, że zostaną wycofane 500 zł., albo, że pieniądz spadnie powodują zawsze poważne zaburzenia na rynku, gwałtowną zwyżkę, albo zniżkę cen.

Jasne jest że chwilowe wahania na giełdzie nie mogą zaważyć na całości gospodarki państwowej ale odbijają się zawsze ujemnie na kieszeni przeciętnego konsumenta, bogacąc spekulantów

Niejednokrotnie już byliśmy świadkami narodzin plotki. Nie jeden już raz przekonywaliśmy się, jak te z ust do ust przekazywane wiadomości z „pewnych źródeł" dalekie są od prawdy, jak złośliwie szkalują poczynania i osiągnięcia rządu, założenia naszego ustroju.

Zastanówmy się, dlaczego pomimo to, plotka wciąż jeszcze znajduje przychylny oddźwięk w naszym społeczeństwie? Czyżby tylko dlatego, że naród nasz przez długie lata pozbawiony wolności ma we krwi nastroje opozycyjne?

Najbardziej nieprawdopodobna plotka znajduje posłuch ponieważ społeczeństwo nasze jest mało uświadomione

Przyjrzyjmy się statystykom. Jakże nie wielu jest u nas ludzi, którzy ukończyli pełną, siedmioklasową szkołę, powszechną, jakże wielu takich, którzy w ogóle do szkoły nie chodzili... Skutki niewoli mszczą się na nas jeszcze dzisiaj W przeciągu 20 lat niepodległości nie odrobiono wiekowych zaniedbań i zacofania w dziedzinie powszechnego szkolnictwa, celowo hodowanego przez zaborców i polskie klasy posiadające. Ostatnia wojna znowu pozbawiła możności uczenia się kilka roczników młodzieży.

Szczególnie opłakanie przedstawia się w naszym społeczeństwie stan wiadomości z ekonomii i geografii gospodarczej.

Nawet inteligencja, która niejednokrotnie posiada duży zasób wiadomości (oprócz zawodowych) z dziedziny literatury, sztuki, czy filozofii zupełnie nie orientuje się w zagadnieniach ekonomicznych.

Może zostało to spowodowane tym, że w okresie narodzin ekonomji, jako nauki, w okresie olbrzymiego rozwoju przemysłu i handlu, byliśmy pozbawieni własnego aparatu państwowego, włączeni w trzy różne organizmy gospodarcze. Może zaważył i wpływ, jaki wywarł na nas mesjanizm t. j. wizja Polski-Chrystusa, a nie Polski, jako całości gospodarczej, etnograficznej itd.

Charakterystycznym dla naszych stosunków jest, że pierwszy fakultet ekonomii w Polsce został utworzony dopiero niedawno przy Uniwersytecie Łódzkim. Mocno rozbudowany Uniwersytet Jagielloński, koncentrujący w swych ramach katedry prawie wszystkich gałęzi nauki, wydziału ekonomii dotychczas nie posiada.

Z tych przyczyn stwierdzić musimy, że długo jeszcze plotka będzie znajdować przychylny oddźwięk w naszym społeczeństwie i to tak długo, dopóki każdy obywatel naszego państwa nie będzie rozumiał zjawisk i procesów gospodarczych, dopóki każdego nie będzie stać na trzeźwą i obiektywną ocenę opartą na znajomości praw i prawideł rządzących życiem gospodarczym i podstawowych twierdzeń nauki ekonomii, dopóki każdy nie nauczy się myśleć ekonomicznie.

*

Ekonomia, jako nauka powstała stosunkowo późno, bo dopiero w drugiej połowie 18 wieku. Za twórcę jej uważa się powszechnie Adama Smith'a, uczonego angielskiego, autora głośnego i fundamentalnego dzieła p. t. „Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów".

Niemniej już filozofowie starożytnej Grecji na marginesie rozważań o zagadnieniach moralnych i politycznych zajmowali się problemami ekonomicznymi. Uwagę swą koncentrowali na zagadnieniach gospodarstwa domowego, które w języku greckim nazywało się **eikonomikos**, stąd wzięła później swą nazwę nauka ekonomii.

Obecnie ekonomia jest nauką „o gospodarstwie społecznym, nauką o istocie, przyczynach, skutkach, i prawidłach zjawisk gospodarczych. Zajmuje się stosunkami powstającymi pomiędzy ludźmi społecznie bytującymi, których treścią jest zaspokojenie materialnych potrzeb i zapewnienie dobrobytu w tej mierze w jakiej zależy on od posiadania przedmiotów materialnych".

Naukę ekonomii podzielić możemy na trzy zasadnicze działy: na historię doktryn ekonomicznych, teorię ekonomii i politykę ekonomiczną.

Naukę ekonomii należy zaczynać od historii doktryn ekonomicznych tzn. historii poglądów, które zwalczały się wzajemnie, historii literatury ekonomicznej.

Zapoznanie się z poglądami o zjawiskach gospodarczych, jakie panowały w poszczególnych okresach historycznych pozwoli nam zauważyć, jak różnie kształtowała się nauka ekonomii, zależnie od poziomu cywilizacji i techniki, a co za tym idzie od sposobów gospodarowania, a z drugiej strony jak wielki był na nią wpływ ogólnych pojęć filozoficznych i moralnych. Pozwoli nam stwierdzić także, w jakim stopniu znajomość prawideł rządzących życiem gospodarczym pozwoliła prowadzić mądrą politykę gospodarczą, której efektem był wzrost dobrobytu narodów.

Znajomość historii doktryn ekonomicznych daje solidną podstawę pod badania teoretyczne, pozwala tym lepiej zrozumieć aktualne zjawiska gospodarcze. Pokazuje nam jak rozwijała się nauka ekonomii, bogacąc się w nowe odkrycia naukowe i twierdzenia, przezwyciężając założenia błędne.

Zasadniczo doktryny ekonomiczne podzielić możemy na cztery grupy, zależnie od tego, z jakiego punktu widzenia rozpatrywano problemy gospodarcze a to na doktryny etyczne, nacjonalistyczne, liberalne i socjalistyczne.

Począwszy od dzisiejszego numeru drukować będziemy cykl artykułów, które będą starały się zapoznać czytelnika z rozwojem myśli ekonomicznej, oraz z podstawowymi twierdzeniami ekonomii.

Tym, którzy chcieliby w szerszym zakresie zapoznać się z tymi zagadnieniami polecamy zapoznanie się z „Historią doktryn ekonomicznych" Gide'a i Rist'a, oraz z I tomem „Systemu ekonomii politycznej" prof. Rybarskiego.

DZIAŁ LITERACKI

WITOLD ZECHENTER

Skazani na tęsknotę

Jest wiele rodzajów tęsknot — ale najgorszym z nich jest tak-zwana nostalgia. Jest to nasilenie tęsknoty największe, szczyt udręki, w którym myśli się tylko o tym, czego osiągnąć nie można, a co się wydaje konieczne do życia.

A z wszelkich nostalgij najstraszniejsza jest tęsknota za Ojczyzną. Objawy jej znamy aż nadto dobrze — znamy je z literatury i z życia, z własnych przeżyć i z opowiadań innych osób. Wielka literatura polska wieku XIX daje najwspanialsze przykłady twórczej tęsknoty za ojczyzną, bez którego to dręczącego uczucia nie mielibyśmy „Pana Tadeusza" i mnóstwa wierszy nie tylko tak zwanych wieszczów, ale i pomniejszych poetów, którzy znaleźli się poza granicami nieistniejącej na mapie Polski.

„Dzisiaj na wielkim morzu obłąkany,
sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
widziałem lotne w powietrzu bociany
długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
smutno mi, Boże!

Tak pisze Słowacki w najpiękniejszej chyba z swoich liryk.

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
modlić się za mną codzień... a ja przecie
wiem, że mój okręt nie do kraju płynie
płynąc po świecie...
Więc że modlitwa dziecka nic nie może,
smutno mi, Boże!"

Gdy czytamy ten przepiękny wiersz, jakże dobrze rozumiemy jego głęboki nurt wewnętrzny, jego treść, ożywioną jakże rozpaczliwie bijącym sercem poety, który wiedział, że nie powróci do ukochanej ponad wszystko Ojczyzny. Wiedział, że powrócić nie może. Słowacki nie odczuwał zwykłej tęsknoty za Ojczyzną, jaką odczuwamy wszyscy, skoro znajdziemy się gdzieś za granicą, ale wiemy, że okres wycieczki, podróży, studiów skończy się, że do pewnego stopnia w naszej mocy leży jego skrócenie — i znowu znajdziemy się w ukochanym mieście rodzinnym, znowu znajdziemy się wśród swoich. Słowacki wracać nie mógł i nie mógł nawet mieć nadziei, że wybuchnie wojna światowa, która pokona cara i otworzy stęsknionemu poecie drogę do Polski.

Czymże jest tęsknota za Ojczyzną, mogąca znaleźć epilog w dobrowolnym, wcześniejszym czy późniejszym powrocie, wobec tęsknoty, która nigdy nie może znaleźć wypełnienia?

Wyraz takiej ponurej nostalgii daje także Cyprian Kamil Norwid w wierszu, który u tego trudnego w formie poety stanowi wyjątkowy okaz czystości i przejrzystości wyrazu. (Kilka zwrotek z tego wiersza podane są na stronie tytułowej — red.).

Ojczyzna wydaje się Norwidowi najpiękniejszym mirażem — ale mirażem bez możliwości realnego ujrzenia.

Czytamy te wiersze, my, w kraju i odczuwamy smutek, chociaż są to wiersze sprzed stu lat, wyrazy uczuć dawno zgasłych. Ale wyobrażamy sobie, że wiersze te czytają także Polacy, będący wciąż jeszcze za granicami Polski.

Nie ci, którzy się tam znajdują, bo wyjechali z kraju, celem wypełnienia jakiejś za granicą misji, albo są po prostu w podróży, czy na studiach. O tych nie chodzi. Ich tęsknota prześwietlona jest przeświadczeniem, że każdej chwili wrócić mogą. Ale ci, którzy sami, dobrowolnie skazali się na nostalgię najstraszniejszą, bo bez nadziei powrotu...

Otrzymujemy listy z zagranicy, czytamy listy, które przychodzą do znajomych. W wszystkich tych listach — tęsknota, tęsknota, tęsknota. Dziesiątki tysięcy Polaków błąka się po świecie, po Afrykach i Amerykach i tęskni i nie wraca i z każdym dniem odcina sobie dalszą możliwość powrotu. Są wśród nich politykierzy i wodzowie, którzy nieźle żyją, wypełniają ważne funkcje za grubsze pieniądze i czy tęsknią czy nie — mało nas to interesuje. Ale poza nimi są dziesiątki tysięcy ludzi szarych, ludzi prostych, dawnych żołnierzy, dawnych jeńców, robotników wywiezionych, więźniów — których oni stumanili i odebrali im drogę powrotu. I ci toną w tych wszystkich „Smutno mi, Boże" i „Tęskno mi, Panie" — toną, wierząc swoim prowodyrom, że wracać nie mogą, bo tu czekają na nich kibitki, którymi wszyscy odjadą wprost na Sybir.

Ich tęsknota jest rozpaczliwa. Znajdujemy jej echa w listach. Ale, gdy piszemy do nich: wracajcie! — oni nie wierzą, wyobrażają sobie, że list został sfałszowany, albo napisany pod grozą rewolweru, trzymanego przy skroniach... Posyłamy im pisma, tygodniki — nie wierzą. Uważają, że jest to jedynie reklamowa, propagandowa prasa. Niektórzy sądzą, że jest to w ogóle tylko na zagranicę robiona prasa, na pokaz, a wewnątrz kraju wychodzą gazety jedynie po rosyjsku... W nic nie wierzą. Mogą słuchać radia — i słuchają — ale też nie wierzą. A jeśli są specjalne audycje właśnie na temat możliwości i konieczności ich powrotu — ocho, wiedzą już, co to znaczy! Oto prelegent został w kajdanach sprowadzony z ponurych kazamat i otoczony przez zbirów, z przytkniętą do skroni lufą karabinu maszynowego, musi odczytać to, co mu podano do odczytania...

Wracają z zagranicy znajomi, którzy wyjechali na pewnien czas i opowiadają o swoich spotkaniach zagranicznych. W nic nie wierzą ci nieszczęśliwi Polacy, zaczadzeni propagandą wrogą, zgubieni i wyprowadzeni na manowce przez swoich prowodyrów politycznych, którzy zbankrutowali i w swoim krachu zatopili i ich także, ich serca, ich marzenia, ich pragnienia, ich szczęście...

Straszliwa tragedia tęsknoty emigracyjnej — trwa. Wiek XIX widział wielką emigrację popowstańczą, wiek XX widzi ze zdziwieniem wielką emigrację dobrowolną. Trzeba zrobić wszystko, co jest w naszej mocy, by u jak największej ilości rodaków zakończyć ponurą chorobę nostalgii. Rząd nasz i przedstawicielstwa zagraniczne czynią wszystko, co leży w ich mocy — apele, prośby, pokazy, odczyty, misje. Ale są niedowiarkowie tak zaczadzeni przez światłych swoich przywódców, że unikają kontaktu, boją się myśli nawet o wejściu w progi polskiego przedstawicielstwa, polskiej wystawy, polskiego pokazu, polskiego odczytu. Do nich my musimy trafić osobistą perswazją, osobistym wpływem rodzinnym i przyjacielskim. W listach, w artykułach prasowych, w odezwach przez radio, wszelkimi drogami, jakie stoją do dyspozycji, skracajmy nostalgię, która jest u przeciętnych osobników chorobą niszczącą i dewastującą myśl i czyn. Tak jak — najsłuszniej — rząd dał termin powrotu profesorom wyższych uczelni pod grozą utracenia możliwości powrotu kiedykolwiek i objęcia swoich katedr w Polsce — tak powinno się dać termin dla wszystkich innych zawodów, dla wszystkich klas ludności. Emigracja dobrowolna jest hańbą, z którą trzeba walczyć nie tylko dla dobra poszczególnych jednostek, by ratować je przed przepaścią nostalgii, ale przede wszystkim dla dobra całego kraju, dla dobra wszystkich. Ich rąk i umysłów potrzebuje nasza zniszczona ojczyzna i ich obowiązkiem jest być z nami. Prowodyrzy niech się ostaną — my potrzebujemy ludzi pracy, tych szarych, zwykłych przeciętnych obywateli, których miejsce jest przy warsztatach całego naszego kraju.

Niech więc każdy z nas pamięta o obowiązku, który na nim ciąży: przyczynienia się do powrotu najbliższych. Polskie „Smutno mi, Boże" musi się skończyć! A im wcześniej się skończy — tym dla wszystkich będzie lepiej.

Prenumerata miesięczna „Świetlicy Krakowskiej" wynosi zł. 19, kwartalna zł. 55.—. Konto P. K. O IV—478.

ZOFIA KARAŚ

Powrót

W małych mieszczańskich pokoikach jest przytulnie i ciepło. Za oknami wstaje jeden z tych jesiennych paryskich wieczorów, które przyklejają do szyb odblaski dalekich latarń i lepkie krople mżącego od południa deszczu.

Ulice są wtedy lśniące i czyste, a odbijające się w nich postacie szybkich przechodniów przybierają dziwne, nierzeczywiste kształty

Z podniesionym w górę kołnierzem, powoli i bez celu błądzi Zygmunt przez spokojną o tej porze Quartier Latin. Stare mury nasiąknięte powagą wieczora i deszczem piętrzą się w mroku, przytłaczające w swej monumentalności. Zygmunt, jak zwykle, kieruje się ku Sekwanie. Balustrada jest śliska, a poza nią, pod nią, woda szara, gęsta, napęczniała wielkim miastem. Daleko ciągnie się sznur odbitych świateł, przeciętymi czarnymi smugami mostów.

— Tamta rzeka — tak samo wyglądała w mgliste jesienne wieczory, tak samo zapalała się o zmierzchu mdłym nie swoim blaskiem. I woda była szara, znajoma, błyszcząca latem żółtymi piaskami plaż, ubielona zimą lodem.

— Podobna, a przecież nie ta.

— Tam, daleko, na moście Poniatowskiego rozkrzyczana gromada chłopców rzucała przechodniom tytuły gazet nadzwyczajne wydania. Tutaj, w dzień tylko senni bukiniści, czekając na rzadkich kupców przychodzą czasem blisko na brzeg i patrzą w wodę bezczynnie i długo.

*

— To nie ma przecież najmniejszego sensu. Wiesz doskonale, jak to wszystko t a m wygląda. Nie ma do czego wracać.

Słowa porucznika Zająca są logiczne i twarde. Ostro, głęboko wcinają się w myśl, kłują.

— Nie ma do czego wracać. — Głowa Zygmunta ciężko opada na ręce. Na środku sali kilkanaście par tańczy w takt jazgotliwego fokstrota. Piwo w kuflach, odarte z miękkiej piany ma smak wilgotnej mgły rozwieszonej nad miastem

Porucznik Zając wstaje i chwiejnym ruchem zasuwa krzesło.

— Staraj się zapomnieć. Wiesz przecież, że nie ma po co — — — Reszta słów gubi się w gwarze.

Jeszcze raz powracają jasne światła dalekich mostów, jeszcze raz powraca obraz jakichś dawnych ulic, domów, jakiegoś dawnego życia, a potem wszystko gaśnie i rozpływa się w świadomości: — Tego już nie ma.

— Garçon, wódki!

*

Męczący szum w uszach i ten deszcz Wszystko się dzisiaj uwzięło. Na rogu z budki, pachnącej pieczonymi kasztanami, jakieś oczy uważnie przyglądają się Zygmuntowi

— Że też zawsze musi się spóźnić! — Zygmunt chwyta się na przekleństwie.

Ale Mademoiselle Louise właśnie nadchodzi. Ma w sobie ten wdzięk, charakteryzujący kobiety Paryża — coś z wielkiej damy i coś z midinetki. Lekka beztroska, bierze Zygmunta pod ramię.

— Mon ami.

Tak już od paru miesięcy. Zygmunt nie pamięta nawet, jak się zaczęło. Codziennie te same słowa, codziennie ta sama dłoń, ujmująca poufale jego rękę.

Mon ami.

Idą przez jasne ulice, rozkrzyczane krwią reklam i śniegiem plakatów, wzrok ślizga się po nich i nagle wyławia jeden, ten właśnie:

„Varsovie accuse".

I w tej chwili cały ten okres, w którym Paryż przesypywał się obok nich, barwny i świetny, w którym wtapiali się w tętnice jego ulic, w gwar bulwarów, wydał mu się czymś bardzo bladym i bardzo dalekim. Przystanął.

Luiza spojrzała zdziwiona.

— To twoje miasto, czy tak?

Zygmunt skinął głową. Jego miasto. Miasto, którego właściwie nie ma. Miasto, które opuścił wtedy, we wrześniu rozpalonym słońcem i dymami, wstającymi z gruzów i z którego uniósł na daleką tułaczkę garść nie wiadomo, gdzie zerwanych rumianków, podanych mu szczupłą, opaloną dłonią. Płatki ich dawno opadły tak, jak opadły wtedy dźwięki Warszawianki tak, jak opada korek ze ścian ugodzonej pociskiem łodzi.

— To było dawno — a jednak —

— Varsovie accuse — Warszawa oskarża. Afiszowe słowa, słowa z papieru wychodzą z murów, ożywiają się, krzyczą.

— Oskarżam!

Głos coraz głębiej wdziera się w świadomość, coraz jaśniej, wyraźniej i nagle Zygmunt już wie, wie na pewno!

— Przebacz mi, że nie pójdziemy dziś nigdzie Ale wiesz — wyjeżdżam — wracam tam — wiesz —

Zdanie rwie się na strzępy, jak rwała się cała jego przeszłość, jak cały ten okres życia skradzionego — komu?

— Varsovie accuse —

Luiza wolno naciąga rękawiczki. Nie rozumie. Trudno.

*

Są pociągi dalekie i bliskie.

Dalekie, to te obce pociągi, które wiozą nas gdzieś, skąd nie ma powrotu, które zabierają nas od czegoś, co konieczne, jak powietrze i bardziej jeszcze.

I są inne pociągi, pociągi, których okna pełne są oczekiwania, gdy z drutów telegraficznych, jak sople opadają kilometry i pozostają w tyle, daleko poza nami. Pociągi takie oddają nam to co zabrały dziwne i długie lata, oddają nas tym, którzy zwątpili, przywracając im znów nadzieję.

Zygmunt przyciska twarz do chłodnej szyby i liczy, dziecinnie liczy stacje dzielące od granicy. I jak rozsypane paciorki nawlekają się na nić pamięci pola i wsie przykryte śniegiem, lasy świerkowe i sosnowe — lasy, które były także i tam, które pozostały za nim — ale jakże inne. Wszystko wydaje się jakimś snem, jakimś nierzeczywistym zdarzeniem.

A potem — zapadający w zmęczony umysł, pełen niepokojących i radosnych zarazem przeczuć okrzyk:

— Warszawa!

Z falą ludzi Zygmunt przesuwa się ku wyjściu.

Tak dziwnie zasycha w gardle i tak bardzo po studencku tłucze się serce pod paltem.

Pierwsze zetknięcie z czymś przeczuwanym, a ogromnie tragicznym jest gorsze od nieświadomości. Bo wyobraźnia, podając najbardziej smutne obrazy, pozostawia jeszcze choćby najwęższą smużkę światła, która jest jakby ostatnią, jedyną szansą. I ciężko, bardzo jest ciężko, kiedy i tej nawet zabraknie.

Śnieg deptany przez spieszących i

JÓZEF BARANOWSKI

NOKTURN

Miedziany sierp księżyca płonie
Rudym odblaskiem u podnóża
Skał przesyconych żarem słońca.
Wiatr — rozpiął mroczne żagle burzy —

Chłosty błyskawic-krwawe pręgi
Kruszą się z trzaskiem w deszczu iskier.
Cisza porosła rdzawym chwastem.
Świt drzemie w stepie smutkiem bliskim.

Jak tabun koni pędzi wicher,
Step życia dudni w gąszczach mroku —
Szumi wezbrana fala nocy
Jak bystry, srebrny nurt potoku.

Gwiazdy przepluskiem w toń spadają
I sycząc gasną spłomieniałe;
Na stepie życia świt się rodzi
Niewyczuwalną ciszą białą —

gwarnych przechodniów pada miękko i łagodzi puszystością sterczące ruiny miasta.

Zygmunt powoli i ciężko idzie przed siebie. Lata, które przeszły, zdwojone i potrojone opadają z gruzów na jego plecy i przyginają go ku ziemi.

I nagle — w blaskach lamp elektrycznych wyrasta przed nim czarny, prężący się most.

Tyle o nim pisano — lecz mimo to staje przed zmęczonym wzrokiem, urastający do rozmiaru symbolu.

Za balustradą, w dole, wplątane w szarą, leniwą wodę gonią się migotliwe odbite nadbrzeżne światła.

Zygmunt przykłada dłoń do rozpalonego czoła. Wzruszenie wielkie i dobre rozlewa się w nim szeroką falą.

Powoli, twardym uściskiem zwierają się pięści.

— Taką jak byłaś — musisz być — i będziesz!

Zofia Karaś

KORNEL FILIPOWICZ

ZRZUT*)

(Dokończenie)

Bukowski nie słucha, potrząsa głową, aby się pozbyć słów Zawady, patrzy bowiem z uwagą w stronę okna, gdzie wyczuł jakiś niepokój. W granatowej ciemności, zwieszającej się za szybą odzywa się nagle, dwukrotne stuknięcie w ramę okienną. — „To nic, to któryś z moich chłopców" — uspokaja Zawadę i podchodzi do okna. — „Wejdź naokoło, nie ma nikogo".

— No, co, Józku? — pyta się młodego człowieka w zielonej kurtce. — Siadaj, opowiesz nam coś nowego.

— Kiedy panie Stefanie, ja chciałem się tylko o coś zapytać; tam na polu czeka na mnie dwóch kolegów.

— Kto taki? — No to poproś ich tutaj.

— Nie, ja chciałem się tylko o coś zapytać.

— Możesz śmiało mówić — śmieje się Bukowski — nie mam żadnych tajemnic wobec mojego przyjaciela.

— Daj spokój — wtrąca Zawada — jestem za tym, żeby jak najmniej ludzi wiedziało o tym, o czym nie muszą wiedzieć. Pójdę sobie do kuchni poplotkować z twoją żoną.

— Cóż to za tajemnica?

— Chciałem sie zapytać, czy chłopcy z mojej drużyny mogliby zabrać ze sobą dzisiaj na noc broń? — widząc że Bukowski poprawia się na krześle, recytuje dalej prędko jak dziecko, które chce zagadać swoją niepewność: — Panie Stefanie, jutro, a najdalej pojutrze, przyjeżdżają auta ciężarowe po odbiór zboża kontygentowego, zdeponowanego w magazynie w Wiślicy. Chcemy ich uprzedzić, zniszczyć księgi kontyngentowe, zabrać trochę wódki i cukru i udać, że znikło połowe zboża... Mamy już przygotowane kwity za dowiezione świadczenia, które rozdamy co biedniejszym chłopom. Pies nie dojdzie, kto oddał kontygent, a kto nie, [illegible]le.

— A wiecie o tym, że tam się zmieniają co noc strażnicy? Starzy chłopi z różnych wsi okolicznych, którzy swoje funkcje traktują bardzo serio i w obawie o własną skórę, mogą narobić krzyku, zleci się policja, gotowa być strzelanina. Rozumiesz, że ja jestem odpowiedzialny. Niechno złapią jednego z was z pistoletem w garści...

— Mowy nie ma, panie Stefanie! Biorę na siebie odpowiedzialność!

— Co mi po twojej odpowiedzialności, jak będziesz siedział w piwnicy i czekał na rozwalenie — mówi ponuro Bukowski, a przez głowę przelatuje mu kilka myśli naraz, — że jeśli nie pozwoli, to oni i tak pójdą, że jego władza jest smutną fikcją; że aby uzyskać formalne zatwierdzenie tej akcji ze strony dowództwa, trzebaby stracić co najmniej tydzień czasu; a wszystko, co myśli, oznacza już dawno zgodę, której nie wypowiada. Panuje przez chwilę cisza, słychać z kuchni Zawadę, opowiadającego o czymś bardzo głośno i dobitnie. Józek odzywa się naraz tonem zawiedzionego dziecka, ze wzruszeniem, które ma coś jednak z groźby wcale nie dziecinnej:

— A na co my mamy właściwie broń, czy po to aby ją magazynować, liczyć i oliwić?

Bukowski nic nie odpowiada, patrzy w jaśniejącą w zmroku twarz chłopca. Oczyma można wyrazić wszystko do końca, nawet to, za co nie bierze się żadnej odpowiedzialności. Kiedy po chwili odzywa się znów, jego słowa odnoszą się już do tego, co następuje po zgodzie, do jakichś drobnych zastrzeżeń, wątpliwości i napomnień. Nie ma mowy o zakazie, — chociaż zgody nie było. Wychodząc, wręcza Józek Bukowskiemu dziesięć podłużnych kwitów in blanco. Po jego odejściu, Bukowski staje w drzwiach i patrząc na Zawadę, który pomaga żonie przysposobić właśnie lampę karbidową, odzywa się filuternie:

— Ile twoi starzy mają właściwie morgów? Nigdy nie pamiętam.

— Trzy hektary, ale po co pytasz?

— Oddaliście cały kontygent?

— Coś tam ojciec woził, może z połowę. Zresztą nie wiem. — Zawada cofa się jak ślimak w skorupę. Bukowski ubawiony jest serdecznie tym, jak prędko ten człowiek z wyższym wykształceniem potrafi stać się znów nieufnym chłopem, nawet wobec swoich najbliższych przyjaciół.

— Co byś powiedział na to, gdyby tak pewnego dnia, a raczej pewnej nocy, wszystkie księgi kontygentowe, zostały zniszczone przez jakąś bandę partyzancką?...

— No i co z tego? Zostaną kwity w rękach tych, którzy już częściowo dostarczyli zboża, opiewające na taką ilość jaką oddali. Będą się musieli nimi wykazać. Na tym cienkim papierze nie da się nic wymazać ani wywabić. Możesz być pewny, już się im przypatrywałem — zauważa fachowo Zawada. Bukowski wyciąga z kieszeni zwinięte papierki, opieczętowane in blanco i podaje jeden z nich Zawadzie:

— A co powiesz na to?

— W porządku! — śmieje się. — Daj jeszcze jeden, nie bądź regionalnym egoistą...

— Masz jeszcze dwa, więcej nie dostaniesz. Rozumiesz, że nasza wieś, z której mężowie zaufania poległy na ziemi związani do rana (a noce są jeszcze diabelnie zimne) — musi mieć jakąś satysfakcję moralną...

— Oczywiście będzie dodatkowy kontygent, wypadnie po jakimś metrze na każdego. Wyobrażasz sobie wściekłość tych gospodarzy, którzy pośpieszyli się i odstawili cały wymiar odrazu? Ale nie szkodzi, tak ma być, gorliwość powinna być ukarana.

Wieczór schodzi im wesoło, na kpinach i obgadywaniu sąsiadów. Po dziesiątej Zawada przypomina sobie, że trzeba iść. Upewnia się jeszcze co do dnia, w którym przypada na niego lekcja łaciny na kursach gimnazjalnych. Bukowski, owinąwszy gardło szalikiem, odprowadza go na drogę. Jest mroczna, tępa noc, w odległości paru kroków nic nie widać. Pachnie z ogrodu obsychającą ziemią i nawozem.

Pożegnawszy się z Zawadą, odwraca się w stronę, gdzie o kilka kilometrów stąd ludzie z jego plutonu zabierają się właśnie do roboty, lub być może już ją skończyli. Nie jest w stanie niczego dojść słuchem. Panuje w tej stronie cisza, tylko gdzieś z boku, z prawej strony szczekają od niechcenia psy. Zamykając poza sobą furtkę, przypomina sobie nagle coś i woła:

— Ja-an! — wróć się na chwilę, chciałem ci coś powiedzieć!

Odnalazłszy go w ciemnościach, pyta się półgłosem:

— Przypomnij sobie, co się stało, kto zabrał tę łopatę, która była przy skrzyni z amunicją?

— Nie mam pojęcia. To głupstwo, — acha, już wiem. Została na wozie. Zabrał ją widocznie do domu furman.

— I mnie się tak zdaje. Trzeba, żebyś tam zaszedł, albo posłał kogo. Nie znasz naszego chłopa? Baba weźmie i będzie kopać nią w ogrodzie.

— Niech kopie, żal ci łopaty?

— Ach, nie o to mi idzie; widziałeś, jaka to dziwna łopata? U nas takich nie ma.

— Masz się czym martwić! Zresztą poślę tam kogoś przy okazji, niech nabija zwyczajne stylisko — do tej — do tej — egzotycznej, angielskiej łopaty, dla twojego spokoju — kończy z emfazą Zawada.

Tego wieczoru, po nocy i dniu wytrąconym z normalnego trybu, Bukowski zasiada jeszcze na pół godziny przy stole, aby uporządkować przynajmniej w myśli nawał czynności, jakie go czekają w najbliższych dniach. Wszystko to są „legalne" sprawy („Legalnymi" — nazywa nawet nielegalne nauczanie, choćby dlatego, że nie odbywa się ono w nocy). Musi więc odrobić lekcje, które odwołał z dzisiejszego popołudnia, pod pozorem korekty zeszytów, w rzeczywistości dlatego, że po nieprzespanej nocy, nie chciał pokazywać się uczniom w stanie mogącym wzbudzić jakieś domysły. Układa więc zajęcia na najbliższe popołudnia. Do końca

---

*) II Rozdział powieści: Księżyc nad Nidą".

tygodnia będzie miał dni tak zapełnione, że z trudem znajdzie czas dla swoich prywatnych spraw, wyjazdu do młyna z pszenicą i bytności u krawca w sąsiedniej wsi. Na wyjazd do lasu z asygnatą po drzewo dla szkoły nie znajduje czasu w tym tygodniu. Umyśla też zwołać zebranie komitetu budowy szkoły do spółdzielni. Wprawdzie, jakąż to działalność może rozwijać instytucja, złożona z sołtysa i kilkunastu szanownych gospodarzy, w czasach, gdy nie wolno urządzać żadnych imprez ani akcji, któreby jej dały podstawy materialne. Te parę tysięcy złotych, którym grozi postępująca z dnia na dzień dewaluacja, nie wystarczą nawet na opłacenie planów. Należy jak najprędzej kupić za wszystkie pieniądze wapna i zadołować go w miejscu, gdzie ma stanąć budynek szkolny. To jedyna lokata funduszu szkolnego, która nie grozi stratą, a przynosie naturalne oprocentowanie wartości — bo wapno nabiera z czasem siły jak wino. Największą trudność będzie miał w przełamaniu egoistycznego uporu chłopów, będących współwłaścicielami górki i błonia, gdzie ma stanąć nowa szkoła. Obszar ten, będący gromadzkim pastwiskiem, zapuszczony, usiany ostami i krzakami zdziczałej róży, nie istniał tak długo w ich wyobraźni, dopóki nie powstał projekt pobudowania na nim szkoły. Szkoła rzecz potrzebna, a jakże — mówili na zebraniu, — a równocześnie na najciemniejszych peryferiach życia wsi, poza jego oczyma kiełkował już pomysł podziału i zapisu w księgi gruntowe, każdemu z nich po skrawku tej bezużytecznej, jałowej ziemi. Doszły go nawet słuchy, że ktoś wybierał się do powiatowego miasta, aby wywąchać możliwości i koszty przeprowadzenia podziału. Na szczęście miał obiecane poparcie kilku rozumniejszych gospodarzy, w tym dwóch jego uczniów, którzy zrzekną się swoich działek na rzecz szkoły. Liczył na wrażenie, jakie zrobi to bezinteresowne wystąpienie, liczył na podrażnienie ambicji i honoru, na który chłopi bywają tak czuli.

Porządkując dalej swoje myśli, natrafia na pewien drobiazg, na formalność, której nie dopełnił na czas. Na ostatniej odprawie wojskowej polecono mu naznaczyć swego zastępcę. Szczególny nacisk położono na to, aby: „o ile możności człowiek, wskazany na tę funkcję, przeszedł normalne przeszkolenie wojskowe". Dalej wyrażono pogląd, że specjalnie dobrze widziany byłby przez władze były podchorąży, lub oficer zawodowy. Wymieniono też kilka frazesów na temat ludzi „z jednego kawałka materiału" — oraz apolityczności, — co miało być przestrogą przed sugestiami zarówno z lewa jak i z prawa. Bukowski nie zastanawiał się dotąd nad tym. Praktyczne jego zastępstwo sprawował Jan Cieśla, dwudziestoletni chłopiec, dowódca trzeciej drużyny, człowiek, do którego miał pełne zaufanie. Nie dziwi się wcale, że dowództwo stawia pewne wymagania co do cenzusu i wyszkolenia. Najmniejsza nawet jednostka w organizacji konspiracyjnej wymaga od jej kierownika wysokich zalet. Ale czy nie zalet raczej specjalnych, w porównaniu z odpowiednim stanowiskiem na linii, w czasie otwartej wojny? Cieśla jest jedynym człowiekiem, jakiego widzi w swoim otoczeniu. Jego młodość, żywotność, zamiłowanie i znawstwo broni, wszystko w granicach, nie dochodzących do awanturniczości i hochsztaplerstwa, — to zalety w porównaniu z ociężałym zapasłym już trochę dowódcą pierwszej drużyny, zawodowym podoficerem, Kłosińskim. Trudno brać na serio pod uwagę takiego Brycha, drużynowego drugiej drużyny. Wprawdzie to akademik, dosyć nawet sympatyczny i obrotny, ale człowiek mało ludziom znany, nie tutejszy. Przez chwilę waha się zakłopotany, bo czuje, że nie wyznaczywszy właśnie jego, popełni coś niewłaściwego. Czy klauzulę „o ile możności", trzeba rozumieć dosłownie? Do diabła! — Anno, czy już śpisz? — Nie? — No to powiedz mi, kogo wolisz: Brycha, Kłosińskiego czy Cieślę?...

— Ach! Co za trudny wybór! — Anna wynurza spod kołdry uradowaną twarz. — Brych — to najprzystojniejszy, najdowcipniejszy chłopak z nich wszystkich. Gdybym się miała w którymś z nich zakochać...

— Wobec tego odpada.

— Co powiedziałeś?

— Że odpada — śmieje się Bukowski. — No a Kłosiński?

— Handluje wieprzkami, sam taki się zrobił jak wieprzek. Ale — Anna poważnieje. — To sprytny i uparty człowiek. Patrz, za dwa lata handlu dorobił się tyle, że zaczyna stawiać dom. Wiesz, jak go nawet lubią. On ma jakiś przyjemny sposób bycia z ludźmi. Prosty, zwyczajny, czuje się, że mimo swoje grube interesy, — że swoje interesy robi z tym z kim trzeba, — wobec reszty ludzi nie jest nastawiony na nieufność i ceremonie. Ale jego żona, no!

— Daj jej spokój — przerywa prędko, spostrzegłszy, że Anna wyciąga się spod kołdry i podpiera głowę ręką.—Jak ci się podoba Cieśla?

— No wiesz, — uczyłam go od drugiej klasy. Taki nasz Józio. Teraz to on się trochę ustatkował, ale jakiż to był nieznośny chłopak! Wiesz, co on mi raz zrobił? Byłam jeszcze wtedy głupia, rok po seminarium, byle co mnie wyprowadzało z równowagi, nie umiałam panować nad kilkudziesięciu istotami naraz. Na jakiejś lekcji, któryś z tych smarkaczy spróbował zagwizdać na świstawce z kory wierzbowej. Zamiast postąpić tak jak byśmy to dzisiaj zrobili, starzy belfrzy, zbagatelizować i ośmieszyć ten dziecinny wybryk, zaczęłam się rzucać i srożyć, ośmieszając się w końcu sama. Zamknęłam wszystkie dzieci aż do wieczora. Siedziałam i męczyłam się z nimi, a na drugi dzień Józio zaopatrzył całą klasę w świstawki (nie mogłam zrozumieć kiedy je sfabrykował, musiał chyba wstać do świtu). Czterdzieści gwizdków uprzyjemniało mi całą pierwszą godzinę, po której wpadłam do swojego pokoju, tam gdzie teraz jest „gimnazjum", bo tu mieszkał kierownik z żoną i płakałam przez drugą godzinę. Kiedy przestałam płakać i obeschłam z łez, poczułam się nagle dojrzałą, dzięki temu upokorzeniu postarzałam się o dziesięć lat w przeciągu godziny.

Bukowski z zadziwiającą cierpliwością wytrzymuje jej gadulstwo, nie przerywa jej nawet, kiedy niespostrzeżenie stara się przekraść swoje wspomnienia na coraz to dalsze osoby i zdarzenia. Widać mu nie przeszkadza, że Anna opowiada o swoich własnych latach szkolnych, spędzonych na ławie seminarium nauczycielskiego w powiatowym mieście, a potem o dzieciństwie i swoich rodzicach. Patrzy przez chwilę na nią, poczym odwraca się i w swoim pamiętniku, jakby natchniony przez prawo przeciwieństwa, zaczyna pisać o czymś całkiem innym. O śmierci:

„Ma rację Jan, kiedy mówi, że po naszej śmierci na pewno dziura w niebie się nie stanie — ale to nie o to chodzi. Wcale nie zależy mi na tym, abym swoją śmierć musiał rozumieć dopiero przez uświadomienie sobie nicości życia. Ta filozofia mi nie odpowiada".

Bukowski nie zapisuje jednak, co za siła każe umierać co minutę komuś na świecie, objętym wojnami, powstaniami i rewolucjami. Uświadamia jednak ją sobie doskonale. Ten pozorny absurd staje się niemal zrozumiały, gdy powiemy sobie, że ludzie narażają się przecież na śmierć w obronie własnego życia.

Kornel Filipowicz

MARIAN KOGUT

O PROMIENIOTWÓRCZOŚCI

Wiele się dzisiaj mówi i dyskutuje na temat bomby atomowej. Ludzie o temperamentach wojowniczych, o naturach zdobywców rozprawiają o sile niszczycielskiej bomby, o tym nieprawdopodobnym wprost skupieniu energii w objętości kilkunastu decymetrów sześciennych, która wyzwolona w odpowiednim momencie zamienić może miasta całe w kupę gruzów i dziesiątki tysięcy ludzi pozbawić życia. Inni marzą znów o zastosowaniu tej energii do napędu motorów, o wprzągnięciu tego wynalazku w rydwan postępu i szczęścia ludzkości. Młodzież szkolna rozprawia na temat zdobycia tajemnicy bomby atomowej, a ludzie wykształceni interesują się problemem jej budowy.

Niewielu tylko zdaje sobie sprawę z tego, że poczesne że zaszczytne miejsce wśród uczonych, którym przypadła w udziale chwalebna rola wychowawców dzisiejszych twórców, a dzięki temu i pośrednich współtwórców i wynalazców bomby atomowej należy się naszej rodaczce Marii Skłodowskiej-Curie. Bomba atomowa jest bowiem jedną z ważniejszych i większych zdobyczy w łańcuchu odkryć i osiągnięć w dzie-



Maria Skłodowska-Curie

dzinie badań nad promieniotwórczością i rozpadem naturalnym i sztucznym pierwiastków.

Niedawno temu, bo zaledwie lat pięćdziesiąt, uczony fizyk francuski Becquerel stwierdził w roku 1896, że spośród różnych ciał fluoryzujących pod wpływem światła uran oraz jego chemiczne związki wysyłają pewne, niewidoczne dla oka promienie, które — podobnie jak promienie Röntgena — działają przez papier czarny i cienkie aluminiowe blaszki na płytę fotograficzną. Po bliższym zbadaniu tego zjawiska okazało się, że źródłem tych promieni jest wyłącznie uran niezależnie od tego, w jakim związku chemicznym on występuje, że promieniowanie to nie ma nic wspólnego ze zdolnością fluorescencji i nie zależy od pierwotnego działania światła na uran względnie jego związki.

W niespełna dwa lata po tym odkryciu Maria Skłodowska wykrywa, że zdolność promieniowania posiada nie tylko uran, ale też inny pierwiastek t. zw. tor. Wiedziona genialną intuicją, że w promieniowaniu tym przejawia się jedna z głębokich tajemnic przyrody, rozpoczęła staranne i uciążliwe badania przede wszystkim nad rozmaitymi minerałami, zawierającymi związki uranu. W pracy swej natknęła się na jeden minerał t. zw. blendę smołową z Jachimowa w Czechosłowacji, która zawiera szczególnie silnie promieniujące ciało. Po uciążliwej analizie chemicznej, przeprowadzonej wraz ze swoim mężem Piotrem Curie, udało się w końcu Marii Skłodowskiej wyodrębnić ów pierwiastek, będący źródłem tego silnego promieniowania. Pierwiastek ten nazwano radem. Rad okazał się pierwiastkiem, którego zdolność promieniotwórcza jest kilka milionów razy większa, aniżeli uranu. Rad wysyła promienie trzech rodzajów: 1) promienie alfa, 2) alfa beta i 3) alfa gama. Promienie alfa są strumieniami cząstek, naładowanych dwoma elementarnymi dodatnimi ładunkami elektrycznymi: po bliższym zbadaniu okazało się, że każda cząstka alfa jest jądrem atomu pierwiastka, zwanego helem. Promienie beta są strumieniami elementarnych ujemnych ładunków elektrycznych, czyli elektronów. Promienie zaś gama są falami elektromagnetycznymi — podobnie jak promienie świetlne, względnie promienie Röntgena. Odróżnia je od tych ostatnich krótsza długość fali — długość ich fali jest mniejsza od najkrótszych czyli najtwardszych promieni Röntgena. Próbowano emisję, czyli wysyłanie tych promieni w jakiś sposób zahamować względnie przyspieszyć — niestety próby te wypadły negatywnie. Okazuje się bowiem, że emisja tych promieni jest czysto wewnętrzną sprawą pierwiastka, jest funkcją jego jądra, na przebieg której człowiek jeszcze nie ma wpływu. Wśród niesłychanie wielkiej liczby atomów w pewnej ilości pierwiastka promieniotwórczego są takie, które w danej chwili dojrzały już do rozpadu, dojrzały do wydania z siebie cząstki alfa. — Cząstka ta wylatuje z jądra z ogromną prędkością, a aktowi temu, temu silnemu wstrząsowi atomu towarzyszy emisja promienia gama, niby sygnał, niby jęk bólu. Atom który przeżył ten wstrząs, przestaje być atomem radu, a staje się atomem t. zw. emanacji radowej. Atom emanacji radowej rozpadnie się po pewnym czasie także, by stać się atomem t. zw. radu „A", a ten z kolei przeistoczy się w rad „B" i t. d. Ostatnim potomkiem w szeregu tych przeistoczeń, potomkiem niejako już bezpłodnym jest atom ołowiu. Aktowi przeobrażenia się, czyli rozpadu promieniotwórczego, nie ulegają naraz wszystkie atomy pierwiastka. Jedne się rozpadają, inne wiodą napozór żywot „normalny", by po pewnym czasie ulec rozpadowi i zacząć przeobrażenie się w atomy innego pierwiastka. Nasuwa się pytanie, jak długo trwa żywot „normalny" atomu danego pierwiastka promieniotwórczego. Problem ten opisuje się w następujący sposób: jeżeli w pewnej ilości pierwiastka promieniotwórczego liczba jego atomów wynosi „x", to po upływie czasu zwanego „okresem połowicznego zaniku", liczba ta zmaleje do połowy, po upływie drugiego okresu połowicznego zaniku z z pozostałej liczby „normalnych" atomów pozostanie znów tylko połowa itd. Dla uranu okres połowicznego zaniku wynosi 4 miliardy 500 milionów lat — dla radu zaś 1580 lat, t. zn., że dopiero po upływie 1580 lat liczba atomów radu, znajdująca się w pewnej jego ilości, zmniejszy się do połowy, przy czym druga połowa liczby jego atomów, znajduje się w stanie przeobrażeń.

Kiedy istotę zjawiska promieniotwórczości dostatecznie wyjaśniono i zrozumiano, zaczęto się zastanawiać, czy nie udałoby się atomy innych pierwiastków zmusić do rozpadu i przeobrażeń takich, jakim ulegają pierwiastki „z natury" swej promieniotwórcze. Zagadnieniom tym poświęciła się w szczególności córka Marii Skłodowskiej-Curie, Irena wraz ze swym mężem Fryderykiem Joliot. W tym celu bombardowali, czyli ostrzeliwali oni pierwiastki niepromieniotwórcze cząstkami „a", względnie tak zwanymi protonami (jądrami wodoru) lub neutronami. Małżonkowie Joliot, wiedzeni genialną intuicją, przypuszczali, że niektóre z tych cząstek „a" lub neutronów wpadną do wnętrza atomu, do jego „serca" do jego jądra, powodując tam albo natychmiastowe pęknięcie całego jądra, albo wywołując stan nietrwałej równowagi, stan pobudzenia jądra, który to stan spowoduje prędzej, czy później jego rozpad. Przypuszczenie to okazało się niesłychanie trafne i szczęśliwe. Po pokonaniu bowiem technicznych trudności i technicznym zrealizowaniu idei małżonków Joliot pokazało się, że niemal wszystkie pierwiastki nabywały w mniejszym lub większym stopniu własności pierwiastków promieniotwórczych. W ten sposób ludzkość zdobyła metodę wytwarzania w laboratorium pierwiastków sztucznie promieniotwórczych, które mogły zastąpić ten niezmiernie drogi i rzadki pierwiastek rad we wszystkich tych wypadkach, w któ-



Irena Curie-Joliot z mężem Fryderykiem przy pracy.

rych użycie jego stawało się koniecznością dla ratowania życia ludzkiego. Pamiętajmy bowiem że rad jest jednym z najskuteczniejszych środków przy leczeniu raka i innych niebezpiecznych schorzeń, jak n. p. leukemii dotychczas nieuleczalnej złośliwej anemii.

Przy realizowaniu idei pierwiastków sztucznie promieniotwórczych, oraz bomby atomowej, jednym z najskuteczniejszych środków są wspomniane już wyżej neutrony. Są to podstawowe składniki jądra — są one pozbawione ładunku elektrycznego i dlatego łatwo wnikać mogą do wnętrza atomu, powodując na skutek tego zmianę jego struktury i wywołując tam stan nietrwałej równowagi. Uran n. p. ostrzeliwany strumieniami neutronów rozpada się na dwie prawie równe części. Szczególnie czułym na działanie strumieni neutronowych jest pierwiastek niedawno odkryty t. zw. pluton — pierwiastek we własnościach zupełnie podobny do uranu będący t. zw. jego izotopem. Przy rozpadzie promieniotwórczym tego pierwiastka wydziela się ogromna ilość ciepła, a nadto z atomów rozpadłych wylatują z dużą prędkością neutrony, które powodują rozpad innych atomów, tak, że w niezmiernie krótkim czasie dzięki tej t. zw. reakcji łańcuchowej, rozpad ogarnia prawie wszystkie atomy zawarte w danej ilości plutonu. Na skutek nagłości zjawiska rozpadu oraz ogromnych ilości ciepła, jaka się przy tym wytwarza, temperatura danej ilości plutonu podnosi się do milionów stopni. W tym pobieżnym opisie wyjaśniona została zasada bomby atomowej.

W styczniu b. r. roku odwiedziła naród polski genialna para wynalazców sztucznej promieniotwórczości, laureaci nagrody Nobla, małżonkowie Irena Curie-Joliot, córka naszej rodaczki Marii Skłodowskiej-Curie i mąż Ireny, Fryderyk Joliot, profesor Sorbony w Paryżu. Serdecznie podejmowani przez Rząd i Naród polski małżonkowie Joliot wygłosili wobec członków Rządu, uczonych, działaczy społecznych, techników i szerokich sfer inteligencji polskiej kilka referatów. W referatach tych profesor Fryderyk Joliot, członek aktywny Komunistycznej Partii Francji, dał także między innymi wyraz stosunku prawdziwego i wielkiego uczonego do problemu postępu, do problemu pracy i mas pracujących. Jego stosunek do mas pracujących nacechowany jest nie tylko zrozumieniem roli świata pracy dla postępu, ale wręcz poczuciem jedności uczonego z robotnikami. Powiedział on bowiem między innymi: „Zadaniem nauki jest służba dla postępu. Realizacja tego zadania jest możliwa jedynie w warunkach, gdzie uczeni nie stanowią zamkniętej w sobie rzekomej elity, stojącej poza masami pracującymi". Na innym zaś miejscu — „Musimy pamiętać, że jeśli mamy możność spokojnej pracy w naszych laboratoriach, jeśli zdobyliśmy i pogłębiamy naszą wiedzę, to zawdzięczamy to w dużym stopniu robotnikom którzy budowali te laboratoria, którzy stworzyli nam warunki do pracy".

Marian Kogut

Z teatrów krakowskich

Miejski Teatr im. J. Słowackiego: „Dom otwarty" M. Bałuckiego.

Państwo Żelscy, mieszczańska rodzina urzędnicza znudzeni jednostajnością zimowych wieczorów, postanawiają prowadzić „dom otwarty" i korzystając z sezonu karnawałowego, urządzają bal. Bal, mimo najlepszych chęci gospodarzy i udziału znakomitego wodzireja, pana Fikalskiego, nie bardzo się udaje. Żelscy, zrażeni intrygami i plotkami, przyrzekają sobie solennie, iż nie powtórzą więcej podobnego eksperymentu. Panowie zasiadają znowu do szachów, pani domu powraca do szydełkowej robótki, a pogodzona para narzeczonych zasiada z powrotem do fortepianu. Oto pokrótce treść komedyjki Bałuckiego, napisanej lekkim piórem, zbudowanej poprawnie. Nie należy jednak zapominać, że Bałucki nie był satyrykiem swych czasów, tj. lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Typy i obyczaje, które obserwował, nie oburzały go, lecz bawiły i sztuki swe pisał przede wszystkim po to, aby bawić. Jeżeli reżyser i aktorzy nie wykorzystają każdej nadarzającej się sposobności rozśmieszania, przedstawienie stanie się puste i nudne. I otóż właśnie: przedstawienie było puste i nudne. Typową „burzę w szklance wody" — inwazję przygodnie zwerbowanych balowników do cichego saloniku urzędniczego, nie pozbawionego wszakże pewnych aspiracji towarzyskich — potraktowano, ku wielkiemu naszemu zdumieniu, na serio. Aktorzy, którym nie pozwolono być dowoli śmiesznymi ofiarami cudacznego obyczaju owych lat, pozostawali w stałym nieporozumieniu z zabawnym tekstem i sytuacjami komedii. Słynny epizod pani Ciuciumkiewiczowej wodzącej po wszystkich zabawach kolekcję swych podstarzałych i wiecznie pietruszkujących pod ścianami córek, zaprzepaszczono niestety zupełnie brakiem nerwu komediowego. Nie tylko nie wzbudzał wesołości, ale sprawiał wrażenie dramatu, źle granego przez zespół amatorski. Chyba jedyny Solarski jako pan Fikalski, aranżer tańców, był dobry — grając na granicy szarży aktorskiej — i tylko on jeden umiał zyskać uśmiech widowni.

Przyznać trzeba, że mylnemu ujęciu sztuki sprzyjały kostiumy, niedostatecznie podkreślające ciasnotę zawalonego meblami mieszczańskiego wnętrza. Niepotrzebnie również, moim zdaniem, zawieszono nad sceną płótno z wieżą Mariacką i Sukiennicami. Już z samego tekstu wynika ponad wszelką wątpliwość, że akcja dzieje się w Krakowie, a uwaga pani Ciuciumkiewiczowej: „co to za plotkarskie miasto, ten Kraków!" wywołuje gorliwe brawa.

Wisława Szymborska

INSCENIZACJE, TAŃCE i PIOSENKI

KONRAD RADECKI

Do Polski nie jest daleko

Obrazek sceniczny w 1 akcie.

OSOBY:

JAN, inżynier, b. żołnierz.
STEFAN, porucznik-pilot.
WŁADYSŁAW, dziennikarz.

(Scena przedstawia bardzo skromnie umeblowany pokoik hotelowy — pośrodku okno, na prawo drzwi. Tapczan, stolik, kilka krzeseł, umywalka. Nad tapczanem zatknięte fotografie i pocztówki z Polski).

JAN: *(leży na tapczanie i czyta angielską gazetę, paląc papierosa).*
(Pukanie).

JAN: *(odrywa się od gazety, patrząc niechętnie na drzwi).*

STEFAN: *(za drzwiami)* Można?

JAN: *(zrywając się z radością, woła)* Ach, to ty! Chodź, Stefek!

STEFAN: *(wchodzi)* Serwus.
(Witają się).

JAN: Siadaj! *(siadają naprzeciw siebie przy stoliku).* Chcesz papierosa? *(częstuje go Chesterfieldami lub Camelami).*

STEFAN: *(biorąc papierosa)* Dziękuję. Brrr... palę to świństwo, bo co mam robić, ale znudziły mi się serdecznie te angielskie smaki.

JAN: Tak jak mnie te szmaty. *(pokazuje gazetę).* Co człowiek weźmie do ręki, musi się zirytować. Dobrze, że przyszedłeś — jestem w pieskim nastroju. Znowu ta awantura w Izbie Gmin o nas, o Polaków! Znowu wymówki, znowu protesty — tu nas nie chcą, tam nas nie chcą, ówdzie znowu przyjmą, ale ale na warunkach, na jakich pracują u nich jeńcy niemieccy!

STEFAN: Żeby to chociaż na takich? Bez tej sympatii, jaką mają u nich szwaby — tym więcej po wizycie Schumachera

JAN: Nie wiem doprawdy, czy nie rzucę całego tego kramu i nie wyjadę do...

STEFAN: *(z przerażeniem)* Gdzie? Do Polski?

JAN: E nie, taki wariat nie jestem. Wiem dobrze jak wszyscy tu Polacy znajdujący się w Anglii, że Polski nie ma. Jest tylko fikcja — jeszcze jedno więcej z sowieckich kłamstw. Siedemnasta republika bez oficjalnego numerka. Dla nas jechać do Polski, to byłoby wyjechać na Sybir, do kazamat sowieckich. Ale może by ruszyć się gdzie do Ameryki, czy diabli wiedzą, gdzie..

STEFAN: Otóż to, diabli wiedzą gdzie...

Przestraszyłeś mnie chwilowo, sądziłem że z nostalgii za ojczyzną i beznadziejności tutejszego życia padło ci na mózg że — jak tylu innych — machnąłeś ręką na wszystko i chcesz wracać do rodziny, do Krakowa!

JAN: Ach, mój drogi, co bym dał za to! Matka, widzisz, matka już stara — tyle lat nie widziałem jej... Siostra już dorosła panienka — nie wiem, czy bym ją poznał na ulicy... Gdy pomyślę o nich, serce mi pęka. Gdy słyszę hejnał krakowski przez radio... to mnie coś tak zamracza, tak ponosi...

STEFAN: Pociesz się, że to tylko z płyty i tylko na propagandowe zagraniczne audycje! Nie ma hejnału, bracie, nie ma Krakowa, polskiego Krakowa, kościół Mariacki zamknięty, a jak mówią niektórzy, podobno stajnię czy garaż w nim zrobiła załoga sowiecka. Ołtarz Wita Stwosza, rewindykowany z Niemiec, dawno już w Moskwie, jak wszystkie nasze skarby i dzieła sztuki. Dlatego ja już wcale nie słucham radia. Wszystko nabujane, wszystko sztuczne — albo pod grozą rewolweru przy skroniach.

JAN: Potworność, potworność...

STEFAN: I — pomyśl sobie, że ja po to przez tyle lat narażałem kark, latając na bombowcu RAF'u nad Niemcami, tłukąc w niemieckie dziury, by taką Polskę wywalczyć!

JAN: A ja... jako szary piechur byłem pod Narvikiem, byłem pod Monte Cassino, trzy razy ranny, odznaczony, w rozkazie dziennym moje nazwisko... Przez tyle lat żarło się amerykańskie konserwy z cynamonem, przez tyle lat żarły mnie wszy żołnierskie, przez tyle lat świstały kule nad głową, wyły szrapnele, wybuchały bomby, ażeby doczekać się tej beznadziejności!

STEFAN: Co robić. Wisimy, mój drogi w powietrzu. Ani tu — ani tam... Tu nas łaskawie jeszcze tolerują, ale woleliby, by nas szlag trafił i by mieli spokój. A tam — niemożność powrotu, tam niewola, męka, Sybir...

JAN: Ale wiesz, czasem przychodzą tawie dziwne myśli... Na przykład że przecież jakoś tam jeszcze żyją Polacy...

STEFAN: Nie bredź, nie gadaj od rzeczy! Jak żyją!

JAN: No przecież czasem ukazują się reportaże i korespondencje z Polski w angielskiej prasie, które...

STEFAN: Zapłacone z góry, rozumiesz? I pokazują im tylko to, co wolno zobaczyć. Nie wiesz o tym, że są w miastach polskich strefy, w których wolno się poruszać, w których są sklepy kina, teatry — i tam, pod konwojem NKWD może taki angielski dziennikarz zaglądać. Ale co się dzieje poza tymi strefami!

JAN: No tak, ale na przykład taki Władek...

STEFAN: Władek! Nie mów mi o nim! Pomyśl sobie, tyle lat przyjaźniliśmy się, trzymaliśmy się razem całe gimnazjum, cały uniwerek. Dopiero wojna nas rozdzieliła — on został w kraju pod okupacją niemiecką, myśmy poszli walczyć po stronie angielskiej. I on teraz, tam, wysługuje się, jak zdrajca, jak zaprzaniec, oddaje swój talent dziennikarski za carskie ruble!

JAN: Nie wierzę w to by to robił dobrowolnie. Zmuszają go. Wiesz przecież, jakie oni tortury stosują. Musi tak pisać, jak mu każą. To właśnie jest ta propaganda zagraniczna. Dlatego przestałem czytać dzienniki z Polski, jakie tu przychodzą. Wiem o tym, że są one tylko na zagranicę — w Polsce nie ma polskich pism, są tylko rosyjskie, piszą w nich sowieccy wysłannicy, przeważnie z NKWD. Tragedia Władka jest straszna...

STEFAN: Mówiłeś o Monte Cassino... Czy wiesz, że ta piosenka o makach na Monte Cassino jest zakazana w Polsce?

JAN: Oczywiście, wiem.

STEFAN: Dowiedziałem się — byłem wczoraj w „Białym Orle" i tam szeroko o tym mówiono — że jest kara śmierci za śpiewanie tej piosenki, za posiadanie jej nut!

JAN: Okropność! A przez radio wciąż ją nadają z Warszawy, z Krakowa, z Katowic...

STEFAN: *(śmieje się boleśnie)* Widzisz, teraz, co może propaganda! *(pukanie do drzwi).*

JAN: Kogo tam diabli niosą... Nie mam ochoty z kimkolwiek gadać... *(woła)* Yes!

WŁADYSŁAW: *(z za drzwi)* Czy tu mieszka inżynier Jan Krzysztoforski?

JAN: *(wstając i podchodząc do drzwi)* Tak, proszę wejść.

WŁADYSŁAW: *(wchodzi. Jan i Stefan, który na jego widok zerwał się z krzesła, patrzą na niego, jak na ducha. Chwilę trwa niema scena, wreszcie Władysław wybucha śmiechem).* Cóż tak gapicie się na mnie, Janek, Stefek, nie poznajecie mnie?

JAN i STEFAN: *(razem)* Władek!

JAN: *(ściskając Władysława)* Uciekłeś! Wreszcie! Wyrwałeś się tym katom! Jesteś z nami! Ja nigdy nie wierzyłem w twoją zdradę!

STEFAN: *(obejmując go i całując)* Siadaj, opowiadaj, jak się przedarłeś?

WŁADYSŁAW: Strasznie się cieszę, że was widzę, miałem trudności w dowiedzeniu się twego, Janek, adresu, trzy dni cię szukam po Londynie — i jak to dobrze, że Stefek właśnie u ciebie — a może razem mieszkacie? *(siadają).* Tylko nie rozumiem, co mówicie? Skąd miałem uciekać? skąd się wydzierać?

JAN: No jak to skąd! Z Rosji!

WŁADYSŁAW: Z jakiej Rosji?

STEFAN: Władek, nie grajże głupiej komedii! Opowiadaj lepiej, jak ci się udało wyrwać za granicę?

WŁADYSŁAW: *(patrzy na nich zdumiony)* Co wy ględzicie? Jak to, jak mi się udało. Po prostu — za paszportem Rzeczypospolitej Polskiej do Paryża jechałem międzynarodowym pociągiem pospiesznym, a do Londynu trzepnąłem się samolotem.

STEFAN: Władek, jeżeliś ty przyjechał tu, jako propagandzista...

WŁADYSŁAW: Jak to jako propagandzista? Przyjechałem jako dziennikarz, wiesz przecież, że pracuję w dziennikarstwie nie od dziś. Jest teraz w Londynie zjazd młodzieży socjalistycznej z całego świata, wysłali mnie jako korespondenta, więc przyjechałem. Skorzystałem z tej sposobności, bo myślałem wciąż o was chciałem was odszukać, rodziny wasze niepokoją się o was, nie piszecie już tak dawno...

STEFAN: Nie piszemy, bo kto dostaje listy z Anglii u was, jedzie potem na Sybir!

WŁADYSŁAW: Na co?

STEFAN: *(macha ręką z oburzeniem)* E, co będziemy sobie głowę zawracać... Idź do kogo innego z swoją misją zaszczytną! Nas i tak nie złapiesz! To tylko *(wstaje i zaczyna chodzić po pokoju, nie może się opanować)* — to, właśnie nas, przyjaciół, ty chciałbyś...

JAN: Cicho... z pewnością za drzwiami jego agent podsłuchuje...

WŁADYSŁAW: *(patrzy na nich ze smutkiem)* Biedni wy jesteście...

STEFAN: *(wybucha)* Biedni, ale nie spodleni!

WŁADYSŁAW: *(zrywa się)* Stefek! *(uspokaja się, siada).* Nie, nie będę się unosił... Powiem was coś nie coś po krótce i pójdę sobie. Mógłbym wyjść od razu, by *(z ironią)* mój agent nie nudził się zbyt długo na czatach... Ale tak tęskniłem do was.. i mam polecenie od waszych, z Krakowa... więc zostanę tu chwilę... Posłuchajcie... *(zasiada wygodniej, oni siadają i patrzą na niego, a mieszane uczucia malują się na ich twarzach. Władysław wyjmuje pudełko papierosów z kieszeni)* Czy wolno wam palić polskie papierosy?

STEFAN: O, polskie... to znaczy...

WŁADYSŁAW: To znaczy sowieckie, ale palcie spokojnie, te wyjątkowo nie są zatrute... To nowy gatunek, „Hel", bardzo dobre...

JAN: *(bierze papierosa)* Na zagranicę, co?

STEFAN: *(bierze również).*

WŁADYSŁAW: *(zapalając)* Oczywiście, na za granicę, bo my w kraju nie mamy papierosów... Wszystko jest tylko dla Rosjan...

STEFAN: Gorsza okupacja, niż niemiecka!

WŁADYSŁAW: Ma się rozumieć *(śmieje się).* Otóż zorientowałem się już w waszym nieszczęściu, dlatego nie będę wam nic mówił, jako propagandzista sowiecki za te marne dziesięć tysięcy rubli w złocie, jakie mi płacą miesięcznie za moją zdradę... Powiem wam tyle, ile winien jestem wam, jako przyjaciel... Otóż twoja matka, Janku, dostała wreszcie ładne, dwupokojwe mieszkanie, bo wiesz, że z waszego, przedwojennego wyrzucili ją Niemcy. Mieszkała strasznie, teraz wreszcie, gdy się trochę unormowało, dostała przydział. Mieszka razem z twoją siostrą, Basią. Basia chodzi już na drugi rok filozofii na nasz kochany uniwerek krakowski, — studiuje polonistykę i romanistykę — wiesz, że zawsze kochała język francuski...

STEFAN: Ale przecież uniwersytet

nieczynny, profesorowie uwięzieni, a młodzież...

WŁADYSŁAW: Młodzież przeważnie w tajgach sybirskich, ale to nie przeszkadza studiom Basi. Sam tego nie rozumiem że uniwerku nie ma, a ona właśnie zdała doskonale drugie kollokwium Jej profesor oczywiście siedzi w kazamacie, ale równocześnie wykłada, pisze, wydaje opracowania literatury polskiej. Jakoś to u nas jedno z drugim jest możliwe... A twoja, Stefku, narzeczona, która straciła zresztą nadzieję na twój powrót, dostała niedawno pracę sekretarki w zjednoczeniu handlowym, prywatnej firmie...

JAN: Przecież nie ma prywatnych firm w kraju... wszystko upaństwowione pod sowieckim nadzorem...

WŁADYSŁAW: To prawda, ale ta jedna firma jeszcze się jakimś cudem ostała i twoja narzeczona ma w niej 12 tysięcy miesięcznie i przydziały, nieźle żyje. Jej brat jest już kapitanem, wiesz, Rysiek, — pamiętasz go.

STEFAN: Oczywiście, że pamiętam, ale wprost uwierzyć nie mogę — Rysiek kapitanem w Czerwonej Armii!

WŁADYSŁAW: Nie w Czerwonej, tylko w naszej, szarej armii — jest kapitanem w piechocie, zaliczyli mu służbę konspiracyjną podczas okupacji w AK...

JAN: Słuchaj, Władek, mogę słuchać wszystkiego, ale o tragedii AK nie wspominaj, to ohydne tak igrać z największą naszą raną. Wiem doskonale, że wszyscy akowcy już są na drugim świecie, wystrzelani, storturowani!

WŁADYSŁAW: AK ma swą tragedię, masz rację, ale ta tragedia na czym innym polega. Ci akowcy, którzy jak Rysiek zgłosili się do wojska polskiego zaraz po wyzwoleniu i zdekonspirowali się przed władzami polskimi, pracują i żyją normalnie. Udział w AK dopomógł Ryśkowi do szybkiego awansu. Tyle o najbliższych. Jeśli chodzi o innych — mnóstwo ich w Krakowie, wszyscy nasi koledzy z uniwerku, wszystko na posadach — oczywiście z wyjątkiem tych, którzy nie żyją, zamordowani przez Niemców. Leon jest instruktorem harcerstwa, Staszek Pszczelarz i Maniek malują, Maniek ma dostać asystenturę na Akademii Sztuk Pięknych, ci profesorowie, którzy przeżyli okupację, wykładają wszyscy na swych dawnych katedrach. Jeden z naszych siedzi, wiesz, ten rudy Zbych, który zawsze miewał jakieś interesy handlowe — złapali go na handlu dolarami i dostał trzy miesiące paki. Mam listy do was, ale nie zabrałem ich z hotelu, umówimy się — może do mnie przyjdziecie wieczorem, albo spotkamy się gdzieś na mieście — tylko ja nie bardzo się w tym olbrzymim Londynie orientuję...

JAN: Masz listy?

WŁADYSŁAW: Listy, mnóstwo książek, gazet dla was... Teraz mam robotę na tym zjeździe, ale on kończy się pojutrze — zostanę ze dwa tygodnie, to pogadamy sobie dokładniej, jeśli chcecie...

STEFAN: Słuchaj, Władek... pamiętasz naszą przysięgę na Polskę, jakąśmy sobie...

WŁADYSŁAW: Pamiętam. To było 3 września 1939. Rozstawaliśmy się wtedy. Tej przysięgi nigdy nie zapomniałem i nie zapomnę.

STEFAN: Władek... czy pod tą przysięgą mógłbyś mi odpowiedzieć na kilka pytań.

WŁADYSŁAW: Tak!

STEFAN: Ilu jest jeszcze Polaków w Krakowie?

WŁADYSŁAW: Około 400 tysięcy, czyli blisko dwa razy tyle, co przed wojną.

STEFAN: Nie bujasz?

WŁADYSŁAW: Czy mam powtórzyć rotę naszej przysięgi?

STEFAN: A jaka jest załoga okupacyjna sowiecka?

WŁADYSŁAW: Okupacyjnej nie ma żadnej i nie było. W roku 1945 było dużo żołnierzy i oficerów radzieckich w Krakowie, była komenda wojskowa w związku z pobliżem strefy okupacyjnej niemieckiej. W ciągu ubiegłego roku z miesiąca na miesiąc było ich coraz mniej, bo oczywiście po wojnie normalnie wracali do siebie. Ilu ich teraz jest w Krakowie, nie umiałbym odpowiedzieć — może stu — może pięćdziesięciu — w każdym razie nie widuje się prawie nigdy tej załogi, która — zgodnie z umową z naszym rządem — pozostała celem pilnowania linii, jaką Sowiety mają do swej strefy okupacyjnej w Niemczech. Trudno bowiem, by przeskakiwali przez Polskę, chcąc od siebie dostać się do swej strefy. Z pewnością mniej widuje się ich w Krakowie, niż w Paryżu widziałem żołnierzy angielskich...

JAN: A życie?

WŁADYSŁAW: Normalne. I normalizuje się coraz więcej. Teatrów mamy więcej, niż przed wojną, kina, restauracje, dancingi. Szkół mnóstwo, uniwerek i inne wyższe uczelnie normalnie pracują, Akademia Górnicza, malarska, handlowa, Wyższa Szkoła Nauk Społecznych i wiele innych. Wychodzi kilka pism i kilkanaście czasopism, jest — jak przed wojną — rozgłośnia Polskiego Radia. Cóż wam powiem jeszcze — że tramwaje chodzą, że wyszły nowe znaczki pocztowe, czy co?

(długie milczenie).

WŁADYSŁAW: *(serdecznie)* Słuchajcie... wiem coś o tym, jak się tu, w Anglii mówi o Polsce... Rozumiem dobrze waszą tragedię... Tęsknicie jak mopsy, a nie możecie wracać. Nie możecie, bo nie chcecie, bo wierzycie w to, w co chcecie wierzyć. Mówię do was, jak stary przyjaciel, mówię, bo mnie prosiła twoja matka i siostra, twoja narzeczona, wszyscy nasi wspólni znajomi: wracajcie! Wracajcie razem ze mną. Czeka na was rodzina, czeka Kraków, czeka Polska. Nie chcę deklamować, nie chcę agitować... Uwierzcie, że żyjecie w omamie bzdury, fałszu, kłamliwej propagandy. Ty, jako inżynier, będziesz miał odrazu pracę, dostaniesz posadę do wyboru, jaką będziesz wolał. Ty, jako pilot, pójdziesz do wojska, a nie, to dostaniesz posadę prywatną — lotnictwo posażerskie u nas rozwija się coraz silniej. Nie zaznacie nędzy. Nie zaznacie też rozkoszy i wygody — u nas jest ciężko, moi drodzy. Trzeba pracować, trzeba nieraz zęby zacisnąć, bo kraj strasznie zniszczony materialnie i moralnie po tak okropnej wojnie i okupacji niemieckiej. Trzeba nieraz walczyć z trudnościami, nie raz odmówić sobie najpotrzebniejszych rzeczy — ale wszystko idzie ku lepszemu. Stańcie razem z nami budować to lepsze! Czy wyobrażacie sobie radość waszych bliskich i radość waszą, gdy stąpicie na polską ziemię po tylu latach? Do Polski nie jest daleko, wierzcie mi, do Polski jest tak blisko, jak do serca! Obrzuciliście mnie tu stekiem ohydnych zarzutów i — nie gniewajcie się — ale straszliwie głupich. Jesteście mi winni przeproszenie. Ale nie chcę go teraz, nie, przeprosicie mnie tam, w Polsce! Gdy sami ujrzycie. Czy sądzicie, że ja, wasz przyjaciel, namawiałbym was, gdybym wiedział, że tam czekają na was tortury, więzienia, Sybiry i tym podobne przyjemności? Przecież jesdziecie do Polski! Czy możecie mi uwierzyć Wyjdźcie z tego straszliwego oparu, z tego zaczadzenia — na naszą przysięgę z września wojny ślubuję wam, że odzyskacie szczęście, wiarę w siebie i ludzi, wiarę w nieśmiertelność ojczyzny, w pracę, która ją odbudowuje! Tam jest wasze miejsce, nie tu. Do Polski nie jest daleko!

JAN: *(wstaje, podchodzi do okna, opiera czoło na szybie).*

STEFAN: *(siedzi oparłszy głowę w dłoniach).*

WŁADYSŁAW: *(po długim milczeniu)* Wiem, że to nie można tak od razu. Musicie przewalczyć w sobie wszystko, co tu w was narosło. Teraz idę *(wstaje)*, ale zobaczymy się dziś jeszcze. Dam wam listy — czy sądzicie, że matka fałszywie pisze do syna? narzeczona do ukochanego? Że jest siła, która by kazała matce skazać syna na śmierć? Namyślcie się trochę... Gdzie się spotkamy?

STEFAN: *(zrywa się i podchodzi do Władysława)* Słuchaj... słuchaj... więc mówisz, że ja... mógłbym wrócić? Nie zaaresztują mnie?

WŁADYSŁAW: Może cię zaaresztują, nawet na pewno, jeżeli zabiłeś kogo, ograbiłeś, okradłeś...

STEFAN: Nie żartuj, powiedz... widzisz, że się męczę... że...

WŁADYSŁAW: Stefek, stary, głupi koniu! Daj grabę i powiedz: nie tchórzyłem przez tyle lat przed niemiecką artylerią przeciwlotniczą, nie tchórzyłem przed śmiercią — nie stchórzę teraz przed blagą, fałszem, kłamstwem. Powiedz tak, stary druhu, pakuj manatki, wystaraj się o paszport — pomogę ci, jak będę mógł — mam znajomego w naszej ambasadzie w Londynie — i wracamy razem!

STEFAN: *(milczy, patrzy w podłogę, zaciska dłonie).*

JAN: *(podchodząc)* Nie tchórzyłem w Narviku, nie tchórzyłem pod Monte Cassino. Wracam!

WŁADYSŁAW: *(bierze go w objęcia).*

STEFAN: Wracam, psiakrew, i ja!

WŁADYSŁAW: Hurra! hurra! hurra! Wracamy razem! Ja was poprowadzę do Polski! Nie zawiadomimy nikogo, przyjedziemy, przed dworcem czekają dorożki, to znaczy, chciałem powiedzieć, kibitki *(śmieje się)*, odwiozę was do domów waszych bliskich, to będzie dzień! to będzie radość!

JAN: Ale ta piosenka... zakazana tak ostro...

WŁADYSŁAW: Która?

JAN: „Czerwone maki na Monte Cassino"...

WŁADYSŁAW: Zakazana jak cholera! Ukochana piosenka twej matki, durniu! Narzeczona Stefka gra i śpiewa ją codziennie! Zaśpiewacie razem! Zwyciężaliście szwabów, zwyciężycie teraz plotkę, oszczerstwo, niemoc, w jaką tu wpadliście. Będziemy znowu razem — a gdy staniemy w Krakowie, powtórzymy tekst naszej przysięgi. Wtedy ślubowaliśmy walczyć za Polskę, teraz — przysięgniemy pracować dla Niej! *(ujmuje ich ręce w jeden uścisk).*

KONRAD RADECKI

STANISŁAW PIECH

WRACAJĄ

(Montaż inscenizacyjny, złożony z fragmentów wierszy Leona Pasternaka, Jerzego Putramenta, Włodzimierza Słobodnika, Lucjana Szenwalda i Adama Ważyka).

*

Rzecz dzieje się na froncie wschodnim zimą 1943—44, odcinek I Armii WP. Scena przedstawia leśną polanę. Wieczór. Obok zaśnieżonych drzew tli się małe ognisko biwakowe. Zagrzewając manierki z kawą, rozmawiają, siedząc, dwaj żołnierze. Kilku innych porusza się na dalszym planie, między drzewami. W oddali głos strzałów.

ŻOŁNIERZ I: No, chyba to już ostatnia zima zdala od kraju. Kilometr za kilometrem, miasto za miastem, — bić, bić, bić, przeganiać Niemca coraz dalej, by wreszcie zobaczyć swoją ziemię dowiedzieć się o losie najbliższych...

ŻOŁNIERZ II: Chyba latem dojdziemy wreszcie w nasze strony. *(Głos jego przybiera coraz cieplejszy ton).*

Jest w Polsce wieczór, kiedy mgła ukradnie
dzienne barwy ogrodom i wszystko owiewa.
Wtedy w sennej siwości dygocą bezradnie
zamglone od wierzchołków po korzenie drzewa.

Miesiąc przez mgłę przesiewa światło jak przez sito.
Siwieją ciemne stawy, srebrzą się jabłonie.
Serce jak ptak, którego wystrzałem zabito,
czerwienią na zieleni przytłumionej płonie.

Wiatraki, płoty, strzechy, są ci takie bliskie,
jak gdybyś je zobaczył przed śmierci godziną
i objął je oczami — ostatnim uściskiem,
zanim ciało z ojczystą zespoli się gliną...

ŻOŁNIERZ I: A tu tymczasem bracie, daleko od kraju — i zima. Nie jeden jeszcze śnieg i ziemię gryźć będzie, zanim inni dojdą tam, gdzie wszyscy dojść chcemy.

ŻOŁNIERZ III: *(który pod koniec rozmowy tamtych dwu zbliżył się, i oparty o drzewo, stoi zamyślony):*

Mój dom nad Wisłą, dzieci bawią się latem
na łące koło starej wierzby...

Gdzie jesteś wierzbo? Pod niebem głuchym
ziemia się kończy śnieżnym wydmuchem,
wiatrem zachodnim przejęci ostro,
szukamy ciebie, płacząca siostro,
najbliższa wierzbo polska, nieznana,
usłysz wołanie, wystrzał z nagana...
...Siostro najbliższa, chwilo najbliższa,
usłysz za śnieżnym, wydmuchem wystrzał
z ciężkiego działa. Śnieżne olbrzymy
dłonie zwijamy w trąbkę, krzyczymy.

ŻOŁNIERZ I:

Do mego domu nie ma dróg —
rozbite wojną, ale ja
odnajdę ślad zatarty w burzy
— choć może dom mój ognia słup
płomieniem objął, zwalił w gruzy...

...Ach, do kraju, gdzie pogorzeliska
kikutami czarnymi stoją —
do ziemi dalekiej, która tak bliska,
bo ona biedną ojczyzną moją,
przyjdę — każdej spotkanej chłopce
suchą dłoń, jak matczyną, całować,
i wieńce kłaść na mogilne kopce,
i budować — budować — budować!...

ŻOŁNIERZ IV *(który wraz z kilkoma innymi zbliżył się do rozmawiającej grupy):*

Gdy wrócę w me ojczyste strony
i gdy usłyszę polską mowę,
wstanę, jak ze snu obudzony
każdym jej dźwiękiem, każdym słowem.

Wstanę jak ze snu zasłuchany
w jej piękno proste i powszednie,
co leczy troski, goi rany
i nie starzeje się, nie blednie...

...Nie dla odświętnej, próżnej krasy
codziennym słowom dźwięczeć dano.
Pachną gorącym potem pracy,
żołnierską krwią za kraj przelaną...

ŻOŁNIERZ II *(z mocą):*

...Wstanie Polska, niby dzień niedzielny,
cała w baziach i dzwonach, w gołębianym gwarze,
w alejach i strumieniach, w kłosach i proporcach,
w karuzelach, w furkocie podrzucanych czapek,
w śmiejących się do dzieci fontannach ogrodów,
podczas kiedy żywiczne dookoła zręby,
stosy rumianych cegieł wśród świeżej zieleni,
świadczą o dobrej pracy zeszłego tygodnia.
Sławią ten, który przyjdzie, pracowity tydzień...

ŻOŁNIERZ III: A tymczasem — naprzód, naprzód, naprzód. Bić, bić i bić. Oczyszczać z Niemców każdą piędź ziemi, przez którą prowadzi droga do Polski.

Długoż mam jeszcze stygnąć
w nieugaszonej agonii?
Zagłada czy ocalenie,
powiedzcie...

OFICER *(wbiega od strony, z której słychać teraz już całkiem wyraźnie, wzmagające się z każdą chwilą wystrzały armatnie).*

— Bracia, do broni!

Uderzamy w tej chwili w ostatni punkt oporu Niemców na tym odcinku. Od natarcia tego zależą najbliższe plany dowództwa. Żołnierze! Każdy wystrzał przybliża chwilę powitania z krajem! Niech żyje Polska!

WSZYSCY: Niech żyje! Niech żyje! *(Zbierając sprzęt bojowy i przechodząc w kierunku wskazanym przez OFICERA, mówią):*

Niech się nie łudzi morderca,
że snem nieprzepartym uśniesz.
Starczy nam siły i serca,
aby ci wrócić uśmiech.

Oto wracają najmłodsze
dzieci, ojczyzno, twoje,
łzy tobie otrzeć,
rany zagoić...

(ŻOŁNIERZE znikają powoli za drzewami, lecz głosy ich rozlegają się z niezmienioną siłą).

Ach, nie żal nam, nie żal nam
zimy, kopciu, mozołu.
Co nam trudy i wojna,
co nam cały żołnierski kram,

bylebyś niezniszczalna,
odrodzona i wolna
rękę podała nam.

CELEM UNIKNIĘCIA PRZERWY W DOSTAWIE PISMA PROSIMY O REGULARNĄ WPŁATĘ PRENUMERATY I CZYTELNE PODANIE ADRESU.

A. LACHOWICZ

GOSPODARZ — TO JA

(Ciąg dalszy)

MACIEJ: *(obruszony)* Też, gadacie... Ziemi dworskiej — co racja to racja — to mi dołożyli, ale bydło zmarniało i budynki poniszczone.

SZYMON: I pewnie chcielibyście, żeby było u was tak jak przed wojną?

MACIEJ: Co bym ta nie miał chcieć?

SZYMON: To czemu tak nie robicie, żeby było? Już dwa lata jak wojna skończona, a u was jak zostało — tak jest.

MACIEJ: *(zniecierpliwiony)* Tera to ja ci powiem, żeś głupi... Toć przecie bym wszystko zrobił — ino nie mam jak i za co...

SZYMON: *(zadowolony)* O, o to idzie... Wy gadacie, że rząd winien, że jest źle. A ja wam mówię, że tak samo wyście winni, że u was jest źle. Bo czy to rząd będzie taki czy inny, to przecie ani dobytku, ani dobrobytu z rękawa nie wytrzepie. Rząd tak robi co może, żeby lepiej było. Nam trza tylko wziąć się w garść i pomóc — a nie wydziwiać...

MACIEJ: *(z pewnym zainteresowaniem)* Może i tak. Ale jak ja mogę pomagać i co inszego robić, kiedy ja swojego ledwie nadążę...

SZYMON: Kiedy tu tylko o to chodzi, żebyście wy właśnie swoje u siebie jak należy zrobili. Nic innego od was nie żądają. Ale trza zrobić solidnie, sumiennie, z pomyślunkiem — a nie tak, żeby ino zbyć... żeby ino na okrasę do kartofli starczyło...

MACIEJ: *(gniewnie)* Oloboga... Toć przecie od rana do nocy tyram — i jeszcze wam źle...

SZYMON: A źle. Wiecie czemu źle? — bo was zadużo w chałupie siedzi. Zamiast pomagać — jeden drugiemu przeszkadza... A i wasza Agata, gdyby nie miała się kim wyręczać — sama musiałaby zawinąć rękawy, wziąć się do roboty i wtedy nawet na gadanie czasu by nie miała...

MACIEJ: *(zacietrzewiony)* No to co ja mam zrobić z tamtymi?... Wziąć siekiery i łby im poucinać?...

SZYMON: *(wstaje — zdecydowanie)* Wiecie, Macieju, co wam powiem? — pomogę wam... I gospodarstwo inaczej pójdzie — i z waszą Agatą dacie sobie radę!

MACIEJ: *(wstaje — rozczulony)* Szymek... Jak ty mi pomożesz moją starą usadzić, to ja... to ja... wszystko dla ciebie zrobię, co byś jeno chciał...

SZYMON: *(podając mu rękę)* Na pewno pomogę. Ino muście wszystko tak robić jak ja wam powiem. *(chodzi po izbie — Maciej siada patrząc pilnie za nim)* Do waszej Agaty — to trzeba się postawić — i to ostro: nie dać się... A jak co — to nawet i potrząsnąć...

MACIEJ: *(niepewnie)* Niby — ja?...

SZYMON: A pewnie...

MACIEJ: A jak ona jucha, mną, potrząśnie?...

SZYMON: *(z uczuciem)* Wypominam,

SZYMON: Na pewno tak źle nie będzie.. *(staje przed Maciejem)* A najważniejsze, robić co trzeba — swoim rozumem i wolą, a nie to co ona wam każe.

MACIEJ: Że niby — co pomyślę — to tak musi być?...

SZYMON: Pewnie. Wy tu gospodarz, nie ona...

MACIEJ: *(zapalił się)* I pewnie, że tak. Gospodarz — to ja...

SCENA V.

Maciej — Szymon — Andzia.

ANDZIA: *(wchodzi)* Tatulu. Mama kazała, żebyście z tym żytem pośpieszyli, bo już ino kilkanaście jajek zostało, a śmietana sprzedana...

MACIEJ: *(zgaszony)* Tfu, cie choroba... *(bierze czapkę)* Muszę iść... *(do Andzi)* Nie wiesz, gdzie ten Józek?

ANDZIA: Nie wiem.

SZYMON: A na co wam Józek?

MACIEJ: Toć przecie — wedle tego żyta...

SZYMON: *(poważnie)* Wam, uczciwemu rolnikowi, nie wolno sprzedawać żyta takiemu Józkowi, czy innym do niego podobnym.

MACIEJ: Bo co?

SZYMON: Bo to, że spółdzielnie skupują zboże, żeby w mieście chleb był tańszy, a takie psubraty skupują dla paskarzy na spekulację, albo na „bimber".

MACIEJ: *(oburzony)* O choroba... To on taki?

SZYMON: A coście myśleli? Ale nie długo tego. Ino patrzeć jak takich powyłapują i do obozów pozamykają, żeby się pracy uczciwej nauczyli.

MACIEJ: *(niezdecydowanie drapie się w głowę)* Nie wiem jak tera, bo stara wyraźnie przykazała...

SZYMON: *(porozumiewawczo)* Macieju... Zapomnieliście?...

MACIEJ: *(zorientował się)* A? — a prawda.. *(energicznie)* Już ja tam wiem co zrobić... *(wychodzi).*

SCENA VI.

Szymon — Andzia.

ANDZIA: *(spogląda ukradkiem na Szymona — Szymon patrzy na nią badawczo, ze współczuciem)* Czemu się tak na mnie patrzysz?...

SZYMON: Bo mi coś za smutna jesteś Andziu, jak na szczęśliwą narzeczoną.

ANDZIA: *(smutnie)* Eh, Szymek. Ty byś się chociaż ze mnie nie śmiał...

SZYMON: *(podchodzi, bierze ją za rękę)* Nie śmieję się... Ino mi smutno, że za tamtego chcesz wyjść

ANDZIA: A bo to chcę? Mam e on się podoba — nie mnie... Że to z miasta, że bogaty...

SZYMON: Ale nie mam'e, ino tobie Andziu — będzie on mężem Nie na dzień ty z nim, nie na rok, ale na całe życie idziesz...

ANDZIA: *(płacząc kryje twarz w dłoniach)* Toć wiem... Czemu mi to wypominasz?...

bo serce mnie boli... Bo cię, Andziu, kocham...

ANDZIA: *(odwraca się, przytula się do niego — płacze)* Och, Szymek...

SZYMON: *(głaszcze ją)* No nie płacz już, nie płacz... *(Podnosi jej buzię do góry, zagląda w oczy)* Lubisz ty mnie trochę?

ANDZIA: *(żałośnie)* I co mi z tego lubienia, kiedy ani ty dla mnie, ani ja dla ciebie...

SZYMON: A gdyby... gdybyś była dla mnie... Poszłabyś ze mną? pojechałabyś ze mną — na Zachód?

ANDZIA: *(szczerze)* Szymek... Z tobą wszędzie bym poszła! gdzie byś ino chciał... Na złe, czy dobre — byle ino z tobą... *(płacze).*

SZYMON: Cicho, Andziu, cicho... Powiem ci coś — co cię uraduje... Ojciec twój też Józka nie lubi... Gadałem z nim... Poproszę... Zobaczysz. Mam taki sposób... Andziu — może jeszcze dziś się zaręczymy...

ANDZIA: O jak ja bym chciała... Ale mama na to nie przystanie...

SZYMON: Przystanie, na pewno przystanie...

SCENA VII.

Maciej — Andzia — Szymon.

MACIEJ: *(wchodzi)* No, jezdem...

SZYMON: Sprzedaliście?

MACIEJ: Pewnie. Kazałem Jędrkowi do „Społem" zajechać.

ANDZIA: *(przerażona)* Do „Społem"?...

MACIEJ: A coś ty myślała? — że twemu Józkowi na „bimber"?... Niedoczekanie... Ganiaj i powiedz matce, żeby się duchem pośpieszyła, bo zara wracamy...

ANDIA: *(coraz więcej zdumiona)* Ja mam tak rzec?... Tato?...

MACIEJ: Coś tak na mnie oczy wybałuszyła, jak wół na malowane wrota?... Ganiaj, kiedy ci mówię, bo cię co obleci..

ANDZIA: Oloboga... Mama się chyba wściece... *(wybiega)*

SCENA VIII

Maciej — Szymon

SZYMON: Brawo... Tera mi się podobacie... Zobaczycie, że sprawa z żoną pójdzie wam jak po maśle...

MACIEJ: *(pewny siebie)* Musi... Ja tu gospodarz... Szymek, powiadam ci, że tyś to zrobił — i ja ci się odwdzięczę.

SZYMON: Dobrze. I o tym pogadamy... A teraz co do waszego gospodarstwa, to już trzeba zastanowić się, pokalkulować Nic na łapu — capu. Po pierwsze powinniście Jaśki męża, niby tego mechanika — z chaty wysiudać...

MACIEJ *(zdziwiony)* Jakto?

SZYMON: Zwyczajnie. Czy w Warszawie, czy w Łodzi — on, mechanik, znajdzie robotę i to dobrą. I pensja będzie szła i deputaty — i mieszkanie własne będzie Jaśka miała, a nie na kupie się gnieździć i na ręce wasze patrzeć...

MACIEJ: A wiesz, że mi to do łba nie wpadło... Zaraz po niedzieli wyślę go do Łodzi. Dwie gęby mniej — i luzniej w chacie.

SZYMON: Wiadomo. I drugie — to Bronka waszego z żoną wysłałbym na Zachód...

MACIEJ: *(rozzłościł się)* Czego?...

SZYMON: Coście tak skoczyli?

MACIEJ: Będę swego chłopaka na Zachód wysyłał, żeby go tam co spotkało. Już nie jedni gadają jaki to tam miód na tym Zachodzie...

SZYMON: *(przekonywująco).* A wiecie kto gada? — Ci, którzy chcą, żeby tam jak najmniej Polaków było, żeby te ziemie, co jeszcze leżą nierozdzielone — zmarniały. Ale to nieprawda. Stryj mój pojechał z synem na Zachód, potem brat starszy — i co? Po ładnym kawałku gruntu miedza o miedzę dostali, i obrządek gospodarski i budynki. A od rządu dostali konia i ziarno na zasiew.

MACIEJ: *(ironicznie).* A tak, dziś dostali, a jutro przyjdą ruskie i im zabiorą...

SZYMON: Wiem. Było i tak. Ino nie ruskie to były, ale zwykłe bandyty, opłacone przez wrogów Polski i poprzebierane w ruskie mundury, żeby między ich i naszym narodem — nienawiść posiać...

MACIEJ: E, kto by ich tam opłacał...

SZYMON: Kto? — a Niemcy, a ich przyjaciele i różna reakcja, która chce powrotu władzy obszarników, i chce żeby te nasze ziemie, cośmy tak krwawo odzyskali — do Niemców wróciły... A przecież, wy chyba tego nie chcecie?

MACIEJ: Oloboga... Ja? — jabym szkopów nawet zakopać w tej ziemi nie pozwolił... Ino tyle o tym Zachodzie się nasłuchałem... *(chytrze)* Słuchajno, Szymek... Jak tam tak dobrze, to czemu ty tam nie jedziesz? Przecież i tobie też u ojców ciasno...

SZYMON: A kto wam mówił, że nie jadę? Jadę i nie sam... I Walek Sikora wybiera się ze mną i Stasiek z Wólki i inni... Co tu będziem siedzieć — kiedy tam rąk polskich i potu brak. Bo nie na rozkosze my tam jedziem, ani na łatwy zarobek — ino do twardej roboty. Bo czy tu, czy tam — bez trudu i potu — nigdy od niczego nie dojdzie.

MACIEJ: No, to jak ty i inni jedziecie, to chyba i ja powiem Bronkowi, żeby się z wami zgadał...

SZYMON: I dobrze zrobicie. Tak trzeba... A i wam tutaj wtedy raźniej robota pójdzie...

MACIEJ: *(uderzony nagłą myślą)* Słuchaj, Szymek... Jakby to było dobrze, żeby tak Agata chciała sobie na Zachód pojechać...

SZYMON: E, głupstwa gadacie. Agata — dobra żona i dobra gospodyni i źle by wam bez niej było. Jak się przestanie w wasze sprawy wtrącać — zobaczycie — zara będzie inna...

MACIEJ: A jak nie będzie?

SZYMON: To wtedy wy pojedziecie na Zachód.

MACIEJ: Szymon... Szymonek... *(całuje go)* Że mi to też do głowy nie wpadło... Ale ty masz pomyślunek, no...

(dokończenie nastąpi)

Pieśń partyzantów

na mel. „Prząśniczek" St. Moniuszki.

Czemużeś mnie odbiegł Leonku kochany,
czego Cię zabrali z sobą partyzany?
Odjechali sobie hen, aż za błonie.
Powróć do mnie cało miły Leonie.

Pojechali już nasi — chłopcy morowe,
hen, za ciemne bory i puszcze jodłowe.
I chorągiew mieli i cudne konie.
Powróć do mnie cało miły Leonie.

Hej, jadą za kraj walczyć, biedni tułacze,
a za nimi dziewczę niejedno płacze.
Las im piosnki śpiewa, ognisko płonie.
Powróć do mnie cało miły Leonie.

Biedne dziewczę płacze od samego ranka,
otoczona ginie polska partyzantka.
Gdzież ja teraz biedna głowę swą skłonię,
kiedy już nie wrócisz — miły Leonie.

1943 r.

słowa do melodii ułożył i dostosował
LISTOWSKI MARIAN NARCYZ

Wedle tego młyna

Melodia ludowa na trzy głosy — Opracował H. Obuchowicz



CZY JESTEŚ SŁUCHACZEM RADIOWEGO UNIWERSYTETU LUDOWEGO?

WYKŁADY ODBYWAJĄ SIĘ W PONIEDZIAŁKI, WTORKI, ŚRODY I PIĄTKI OD 21.45 DO 22.00.

KRONIKA ŚWIETLICOWA

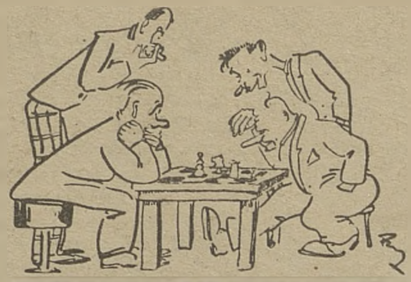
Prace nad Konkursem Ochotniczych Zespołów Artystycznych przy świetlicach fabrycznych Związkach Zawodowych Domach Kultury, zainicjowane przez KCZZ dobiegają końca. Od dnia 20 stycznia b. r. odbywają się eliminacje na szczeblu powiatowym. Udział w konkursie zgłosiło 11 powiatów a z terenu miasta Krakowa 26 zespołów. Eliminacje zapoczątkowały zespoły świetlicowe Chrzanowa Białej i Brzeska w czasie od 20 do 26 stycznia. Dalsze eliminacje w toku. Po ukończeniu eliminacji powiatowych odbędą się eliminacje na szczeblu wojewódzkim. Najlepsze, nagrodzone zespoły wyjadą na ogólnopolski konkurs do Warszawy.

*

Uczestnicy kursu dla kierowników świetlicowych przy krakowskich zakładach pracy utworzyli ochotniczy zespół artystyczny i opracowali widowisko teatralne pt. „Kolenda Narodu Polskiego". Był to montaż opracowany przez ob. Rokoszową, oparty na utworach poetyckich Pasternaka, Tuwima, Balińskiego, Zahorskiej i Ostrowskiej. Było to pierwsze widowisko w opracowaniu amatorskiego zespołu robotniczego.

*

W Związkowym Domu Kultury w Krakowie odbywają się wykłady **Studium Spółdzielczego Uniwersytetu Jagiellońskiego**, prowadzone przez prof. J. Wolskiego. Z wykładów tych korzystają nie tylko studenci U. J. lecz także aktywiści i działacze Związków Zawodowych. Wykłady odbywają się we wtorki o godz. 15 i trwać będą przez trzy trymestry.



Kącik Szachowy

GAMBIT FROM'A

Początki nieprawidłowe dotyczą również gambitów. W partii poniższej widzimy znakomite wykorzystanie znanej obrony duńczyka From'a przez mistrza Spielmann'a, który ofiarując trzy figury, stwarza sobie znakomitą pozycję, zapędzając białego króla w sytuację bez wyjścia.

	Białe: Schenkhein	Czarne: Spielmann
1.	f2—f4	e7—e5
2.	f4×e5	d7—d5
3.	e5×d6	gf8×d6
4.	Sg[illegible]3	g7—g5
5.	g2—g3	g5—g4
6.	Sf3—h4	Sg8—e7
7.	d2—d4	Se7—g6
8.	Sh4—g2	Sb8—c6
9.	e2—e3	h7—h5
10.	gf1—d3	h5—h4
11.	Gd3×g6	f7×g6
12.	Sg2×h4	Wh8×h4!

Tym poświęceniem jakości czarne zajmują zupełnie pozycję białego króla, który rozpoczyna teraz swą zgubną wędrówkę.

13.	g3×h4	Dd8×h4+
14.	Ke1—d2	gc8—f5
15.	a2—d3	0—0—0

— Białe próbują ratować swego króla poprzez c3 na b2, lecz napróżno.

16.	Kc2—c3	Gd6—e5
17.	b2—b4	Sc6×d4!

Zaofiarowane drugiej i trzeciej figury wpędza białego króla w obóz nieprzyjacielski.

18.	e3×d4	Wd8×d4!
19.	Dd1×d4	Dh4—f2!!

Oto rezultat całej tej wspaniałej kombinacji!

20.	Dd4×e5	Df2×c2+
21.	Kc3—d4	Dc2—d3+
22.	Kd4—c5	b7—b6+
23.	Kc5—c6	gf5—d7+ i mat.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

LOGOGRYF KOMBINOWANY

Po odgadnięciu wyrazów, których znaczenie podajemy poniżej, wziąć z każdego z nich pewne grupy liter, które odczytane w kolejności, dadzą właściwe rozwiązanie. W nawiasach ilość liter, z których składają się poszczególne słowa.

Znaczenie wyrazów: Pora doby (4), część nogi (5), dopływ Wołgi (4), zwierzę domowe (3), owad (3), ogólna nazwa postaci czczonej w czasach pogańskich (6), rasa psa (6), ptak drapieżny (4), nadmorskie miasto w Polsce (6), przynaglenie (8), miasto we Włoszech (4), tłumaczenie (8), tytuł uniwersytecki (6), cyfra (4), widziadła w malignie (6), ptak (6), królestwo jednej z Muz (5).

ROZWIĄZANIE Z N-RU 3

LOGOGRYF

Apasz, organy, szatan, beduini, omen, łączka, Adonis, grzyb, szał, makata, ołtarz, nokturn, oświata, acidum (c=ć), uczynki.

„Przemądrzałość czyni nas błaznami".

SYLABÓWKA

„Gdy na Gromnice jasno i ładnie — dużo śniegu jeszcze spadnie".

METAMORFOZA

Rosa — kosa — kora — kara — karp.

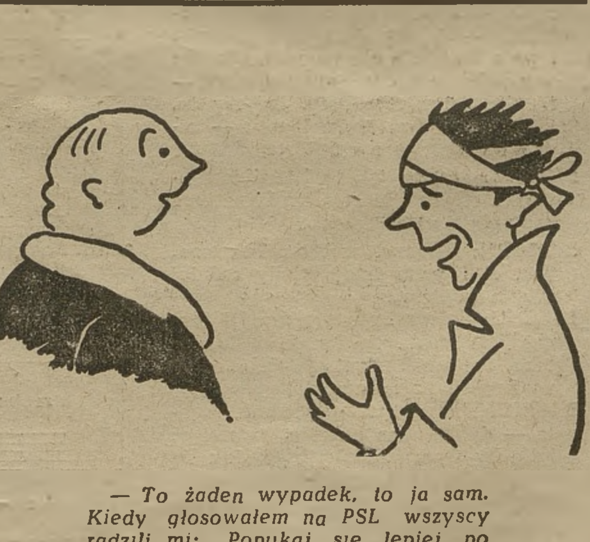
WYDAWNICTWA NADESŁANE

„ŻYCIE NAUKI" MIESIĘCZNIK Naukoznawczy, Tom. II, Nr. 9—10 — Wrzesień—Październik 1946, Kraków. Redaguje Komitet. Wydaje z zasiłku Wydziału Nauki Ministerstwa Oświaty.

„ZIEMIA". Ilustrowany miesięcznik krajoznawczy. Rocznik XXX, Nr. 9, Warszawa — Grudzień 1946. Redaktor: Stanisław Lenartowicz. Wydawca: Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.



— Właśnie przypomina mi się, kochana Mary, że to już najwyższy czas, aby wrócić do kraju...



— To żaden wypadek, to ja sam. Kiedy głosowałem na PSL wszyscy radzili mi: „Popukaj się lepiej po głowie". No i dopiero teraz ich usłuchałem.

Organ Wojew. Domu Kultury w Krakowie. Redaguje zespół. Adres redakcji: Kraków, 1 Maja 1, II. piętro, telefon 565 58
Drukarnia * pod Zarządem Państwowym, Kraków, Wielopole 1.
M—18624